

WSPOMNIENIA Z LAT 1948-1958

Michał Żak

spisał i opracował Mirosław Lewandowski¹

Ryszard Bocian, działacz „Solidarności” i Konfederacji Polski Niepodległej w Krakowie, wspominał:

13 grudnia 1981 r. na rogach ulic rozlepione wielkie płachty papieru obwieszające paragrafy Dekretu o stanie wojennym: „[...] drukowanie i rozpowszechnianie, nielegalne zgromadzenia, kontynuowanie działalności, kto udziela pomocy [...] kara więzienia od lat pięciu, kara dożywotniego więzienia, kara śmierci [...]”. Strach.

Ktoś pozwala nam „ukraść” powielacz ze swego zakładu – umieszczamy go z nieżyjącym już dziś dr. Stefanem Skawińskim w jakimś prowizorycznym schowku. Potrzebne jest pewniejsze lokum. Mieszkania znanych mi działaczy KPN po rewizjach, często z wytłamanymi drzwiami, główni lokatorzy siedzą. Z ciężkim sercem przybiegam do mieszkania Michała Żaka na ul. Wrzesińską. Otwiera mi sam gospodarz, 70-letni laborant Akademii Medycznej, kaleka po ubowskich torturach, skazany w latach 50. na karę śmierci, długoletni więzień stalinowski. Zdaję sobie sprawę z tego, na co narażam tego starego

¹ W 1984 r. na polecenie Ryszarda Bociana, mojego szefa w KPN, nagrałem na magnetofonie kasety relację Michała Żaka, którą znaleźliśmy już we fragmentach z wcześniejszych rozmów, prowadzonych z nim, gdy wielokrotnie bywałem w jego mieszkaniu. Następnie relację tę przepisałem na maszynie w trzech egzemplarzach. Jeden maszynopis Ryszard Bocian dał Danucie Suchorowskiej, która wykorzystwała go przy pisaniu książek o Władysławie Gurgaczu opublikowanych w drugim obiegu: *Gurgacz. Popieluszko lat stalinowskich i współnicy jego losu* (Kraków 1987) oraz „...postawcie mi krzyż brzozy”. *Prawda o tzw. sprawie ks. Władysława Gurgacza kapelana Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej 1948-1949* (Warszawa 1988). Drugi maszynopis – za pośrednictwem redakcji „Rzeczpospolitej” – przekazałem w latach 90. do Fundacji „Karta” (i w tej instytucji, niestety, zaginął). Trzeci – schowałem i to tak skutecznie, że odnalazłem go przypadkowo dopiero niedawno. Niniejszy tekst, oparty na trzecim, niedawno odnalezionym maszynopisie, stanowi wierny zapis słów Michała Żaka sprzed 30 lat, gdy w Krakowie niemal nikt nie pamiętał o historii PPA, a groby jej żołnierzy na cmentarzu Rakowickim były całkowicie zaniedbane. Tekst ma dużą wartość jako źródło historyczne, gdyż jest bezpośrednią relacją jednej z osób sądzonych w pokazowym procesie PPA w 1949 r. w Krakowie. Od wydarzeń, których dotyczy ta relacja, do momentu jej złożenia minęło mniej więcej tyle samo czasu, ile od nagrania tych wspomnień do dzisiaj. Trzydzieści lat to dużo, ale przecież dzisiaj nieźle pamiętamy wydarzenia po 13 grudnia 1981 r. Tak samo Michał Żak w roku 1984 dobrze pamiętał wydarzenia z czasów stalinowskich, zwłaszcza że potem, w więzieniu, miał dość czasu, aby je rozpamiętywać.

człowieka, mówię, że może na kilka dni, zanim znajdziemy coś lepszego... Michał przeirywa i spokojnym głosem mówi do mnie: „Możesz tu przywieźć nawet czołg i zostawić go na tak długo, jak będzie potrzeba”.

I tak zostaliśmy w lokalu na Wrzesińskiej na długich osiem lat, z naszymi prymitywnymi kapeenowskimi „ramkami” drukarskimi (powielacz przypadł „Solidarności”), ze stosami bibuły, z konspiracyjnymi zebraniem różnych struktur KPN, a także „Solidarności”.

Chyba był świętym. Regularnie, przez całe lata 80. wspomagał ze swojej pensyjki „Solidarność”, zanosząc pieniądze dla „Solidarności” do kurii. Wspomagał wszystkich potrzebujących, którzy kręcili się po jego domu, a u których zauważył jakąś potrzebę. Potrafił mi kupić papierosy „Klubowe”, widząc, że palę tanie „Sporty”! Przez całe lata 80. prenumerował mi „Tygodnik Powszechny”, który pobierałem w zakrystii u jezuitów. A w jego domu przy Wrzesińskiej koczowała nie tylko góra naszej grupy w KPN. Odbywały się tam, jak się później dowiedziałem, zebrania góry „Solidarności” małopolskiej. Drukowaliśmy u niego. Poza tym ukrywał się tam Tolek Piekalkiewicz, jakiś czas Maciek Gawlikowski. Miał ogromny wpływ formacyjny na młodzież kapeenowską, która się z nim stykała. Wiedziałem, że ludzie, którzy wysłuchali dramatycznych opowieści Michała – nie pękną tak łatwo na esbecji. I nie myliłem się. Michał także nigdy nie pękał. Oczywiście, nic nie powiedział ubecji. Dalej spokojnie konspirował z nami. Opiekował się krzyżem kwietnym pod kościołem jezuitów przy ul. Kopernika przez całe lata 80. Co miesiąc uczestniczył w modłach przy tym krzyżu. Był do przesady skromny. Nawracał nas i słowem, i przykładem, na właściwą, chrześcijańską drogę. No, po prostu święty.

Nazywam się Żak. Na imię mi Michał. Rodzicom moim na imię było Jan i Zofia z Kocembów. Tatuś mój był rolnikiem. Kilkakrotnie wybierany był na wójta w gromadzie Kamionka.

Urodziłem się 10 września 1911 r. też w Kamionce² (powiat Grybów, potem Nowy Sącz). W Kamionce uczęszczałem przez siedem lat do szkoły oddziałowej. Potem wyjechałem do jezuitów, do Starej Wsi³. Miałem zamiar chodzić do gimnazjum, ale brat, który był u jezuitów, namówił mnie, żebym przyjechał tam i tam się szkolił. To nie było szkolenia teoretyczne, tylko praktyczne – pracowałem w ogrodzie, potem w aptece. Szefem tej apteki był Puzalski – lekarz. Spodobałem mu się, bo byłem sprytny i potem wziął mnie do pracy w aptece. Pracowałem tam w latach 1928-1934, najpierw w Starej Wsi, potem w Chyrowie⁴. W końcu ściałem się z prowincjałem Konopką⁵ i od jezuitów odszedłem.

² Kamionka Wielka – wieś położona 10 km na południowy wschód od Nowego Sącza.

³ Stara Wieś leży w odległości 50 km na południe od Rzeszowa. W XVIII w. Paulini wybudowali tutaj barokową bazylikę pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny oraz barokowy klasztor. W XIX w. budynki te przejęli jezuiti, zakładając tutaj kolegium oraz nowicjat. Kolegium starowiejskie uważane jest za kolebkę wszystkich Jezuitów Prowincji Polski Południowej. Zob. <http://www.starawies.jezuici.pl> (24 X 2014).

⁴ Chyrów – miasto położone 30 km na południowy wschód od Przemyśla, obecnie na terytorium Ukrainy. Do 1939 r. jezuiti prowadzili tutaj zakład naukowo-wychowawczy, który uchodził za najlepiej wyposażone gimnazjum w II RP. Zob. ks. J. Niemiec, *Zakład Naukowo-Wychowawczy OO. Jezuitów w Chyrowie 1886-1939*, Rzeszów-Kraków 1998.

⁵ Ojciec Włodzimierz Konopka był prowincjałem jezuitów w latach 1931-1935.

Rozpocząłem wtedy szkolenie średnie na kursach maturalnych „Wiedza” w Krakowie. Najpierw złożyłem egzamin z zakresu szkoły podstawowej w szkole św. Floriana przy ul. Szlak⁶, a potem kolejno, co roku, zaliczałem po dwie klasy. Małą maturę⁷ złożyłem w 1936 r., a egzamin dojrzałości⁸ miałem zdawać w 1939 r. Przed wakacjami zdałem pisemny, a ustny odroczyłem na wrzesień. Ale we wrześniu wybuchła wojna.

1 września 1939 r. odebrałem dokumenty z kuratorium i zacząłem się ukrywać. Pojechałem do Kamionki bez wymeldowywania się z Krakowa, a w Kamionce nie zameldowałem się. Zimą 1944/1945 wstąpiłem do AK, ale do dnia dzisiejszego nikomu o tym nie mówiłem (nawet na UB się do tego nie przyznałem).

Potem miałem parę miesięcy na przygotowanie się do matury i zdałem egzamin dojrzałości w VIII Gimnazjum im. Witkowskiego⁹. Od razu wstąpiłem do seminarium duchownego w Tarnowie¹⁰. W drugim półroczu przenieśliśmy się do Krakowa. Zostałem przyjęty do częstochowskiego seminarium, a na Uniwersytet Jagielloński chodziliśmy na wykłady¹¹. Gdy byłem w seminarium nastąpiło to aresztowanie.

Księdza Gurgacza¹² poznałem w 1948 r. w okresie ferii świątecznych Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy, kiedy klerycy byli poza seminarium. Chodziłem po Krakowie i przypadkowo spotkałem ks. Gurgacza, którego znałem jeszcze z czasów, gdy pracowałem przed wojną u jezuitów. On wtedy odbywał nowicjat. Teraz zapytałem go, czemu jest po cywilnemu. Odpowiedział, że „jest spalony” i wyjaśnił mi okoliczności, w jakich do tego doszło.

⁶ Szkoła św. Floriana w Krakowie (obecnie Szkoła Podstawowa nr 7) w latach 1912-1939 mieściła się przy ul. Szlak 5. Teraz w tym budynku znajduje się XX Liceum Ogólnokształcące im. Leopolda Staffa. Zob. <http://www.sp7.pl/historia.html> (24 X 2014).

⁷ Po reformie szkolnictwa min. Janusza Jędrzejewicza z 1932 r. mała matura kończyła naukę w czteroletnim gimnazjum. Taki system obowiązywał do 1948 r.

⁸ Po reformie jędrzejewiczowskiej dwuletnie liceum miało charakter elitarny. Kończyło się dużą maturą, która stanowiła przepustkę do szkoły wyższej.

⁹ VIII Państwowe Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze im. Augusta Witkowskiego (przed 1921 r. – Wyższa Szkoła Realna) od końca XIX w. funkcjonowało w budynku przy ul. Studenckiej w Krakowie. Wznowiło działalność w 1945 r. Od 1956 r. funkcjonuje jako V Liceum Ogólnokształcące. Zob. <https://www.v-lo.krakow.pl/o-szkole/historia-szkoly> (24 X 2014).

¹⁰ Wyższe Seminarium Duchowne w Tarnowie funkcjonowało przez cały okres okupacji niemieckiej (mimo że w 1941 r. aresztowani zostali przez Niemców rektor ks. Roman Sitko oraz ojciec duchowny ks. Józef Brudz). W 1946 r. wznowiło oficjalną działalność. Zob. <http://www.wsd.tarnow.pl/historia/rys-historeczny> (24 X 2014).

¹¹ W latach 1926-1954 alumni częstochowskiego Wyższego Seminarium Duchownego studiowali w Krakowie, a sama uczelnia funkcjonowała w ramach Wydziału Teologicznego UJ. Siedziba seminarium znajdowała się w Krakowie przy ul. Bernardyńskiej. Zob. <http://www.seminarium.czyst.pl/> (24 X 2014).

¹² Władysław Gurgacz urodził się 2 IV 1914 r. w Jabłonicy Polskiej k. Krosna. W 1931 r. wstąpił do nowicjatu jezuitów w Starej Wsi. W 1942 r. otrzymał święcenia kapłańskie. W latach 1945-1947 był kapelanem szpitalnym w Gorlicach (jednocześnie był pacjentem tego szpitala) oraz kapelanem Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Starowiejskich. Potem został przeniesiony do Krynicy. Ten i kolejne przypisy, przy których nie podaję źródła, opracowałem na podstawie tekstu Dawida Golika i Filipa Musiała pt. *Maluczko i skończy się ścieżka zarośnięta cierniem...*, „Biuletyn IPN” 2010, nr 1/2, s. 152 i nast.

Był kapelanem w ochronce w Krynicy. Wygłaszał tam rekolekcje. Pierwsze rekolekcje wydał dla kobiet, drugie dla mężczyzn, a trzecie rozpoczął wydawać dla kolejarzy, których zaprosił imiennie (zdobył ich adresy)¹³.

Po pierwszych rekolekcjach zyskał sobie rozgłos. Rzeczywiście był bardzo dobrym mówcą, tak że ludzie słuchali go z wielką uwagą i nieraz płakali. Na rekolekcjach mówił to, co każdy ksiądz powinien mówić, mianowicie udowadniał istnienie Pana Boga. Było to w sprzeczności z marksizmem. Kałucki i jacyś inni jeszcze – jak on to mówił – „pseudonaukowcy” twierdzili, że Chrystus nie był postacią historyczną. A jeśli nawet był, to był jakimś reformatorem, który naraził się możliwym żydowskim i dlatego go zabili. A ks. Gurgacz dziwił się: „Jak można w dzisiejszych czasach mówić, że Chrystus nie był postacią historyczną?!”. Przytaczał Józefa Flawiusza, Pliniusza i Tacyta, u których są wyraźne wzmianki o Chrystusie. Tak bardzo przekonująco udowadniał tezy katolickie i tak bardzo blado wypadali przy tym ci uczeni radzieccy, że zwróciło to uwagę heroldów komunistycznych, jakimi są milicja i UB, którzy także słuchali tych jego rekolekcji. Kiedy ks. Gurgacz imiennie zaprosił miejscowych kolejarzy na rekolekcje, to już do szczytu się zdenerwowali, że on klasę robotniczą chce bałamucić. Nasłali jakiegoś partyjniaka, żeby go „sprzątnął”, to jest zastrzelił na ulicy¹⁴. Ten sobie wcześniej popił (wtedy jeszcze stan upojenia alkoholowego był okolicznością łagodzącą, dopiero potem wydano ustawę przeciwną) i jak ks. Gurgacz miał te rekolekcje kontynuować, to on już spacerował w takim miejscu, o którym wiedział, że ks. Gurgacz tamtędy przechodzi. Ale ksiądz szedł energicznie, tak że go zaskoczył. Dopiero gdy go minął, to tamten się spostrzegł. Krzyknął: „A to klecha!”, co słyszeli przechodzący ludzie. Wyciągnął ten swój pistolet i strzelił do księdza. Ale chybił! Wódka miała ten swój minus, że strzelił niecelnie. Ksiądz Gurgacz umknął między ludzi.

To był pierwszy zamach. Ludzie, którzy widzieli tego człowieka, który strzelał i znali go, mówili, że był partyjny, znali jego tożsamość. UB wezwała ks. Gurgacza, żeby przedstawił, jak to było. Ludzie przestrzegali go: „Niech ojciec nie idzie! Oni ojca już dawno mają na oku i jak ojciec pójdzie, to ojciec już nie wróci!”, więc ksiądz odpowiedział im pisemnie. Napisał: „I tak będę musiał pisemne zeznania robić, a nie ma potrzeby, żebym się zgłaszał na UB (czy tam milicję)”.

Okoliczności drugiego zamachu na jego życie już nie pamiętam. W każdym razie mówił, że dwa razy był na niego zamach. Miał się już wtedy na baczności. Wzywali go, on się nie zgłaszał. Jednego razu tak było, że odprawił nabożeństwo w ochronce, wyszedł do łazienki, która była w suterrenach, a na furcie tej ochranki znalazło się dwóch czy trzech cywilów, którzy pytali się o niego. Zakonnica, która z nimi rozmawiała mówiła, że można było zauważyć, że mieli coś pod płaszczami, coś grubszego. Odpowiedziała im: „Ojciec już odprawił mszę świętą i wyjechał do prowincjała, do Starej Wsi”. Taka sprytna zakonnica! Oni powiedzieli jej, żeby się zgłosił, bo jak się nie zgłosi, to go siłą przyprowadzą.

Od tego czasu ks. Gurgacz zaczął bardzo uważać. Raz czy dwa razy go nachodzili, ale jakoś im się nie poszczęściło. Potem, gdy już nie mógł odprawiać nabożeństw

¹³ Było to przed Wielkanocą 1948 r.

¹⁴ W liście do do swojego ojca duchowego ks. jezuity Józefa Pachockiego ks. Gurgacz napisał, że zamachowcem był komendant MO z pobliskiej wioski, który oddał do niego dwa strzały. Pierwszy okazał się niewypałem, a drugi chybił.

w ochronie, bo była ciągła obawa, że go złapią, tylko się ukrył, to przyszło po niego trzech po cywilnemu. Powiedzieli tak (opowiedziała to zakonnica): „Jesteśmy tu wysłani z lasu przez naszego dowódcę, żeby ojca do niego doprowadzić, czy ojciec chce, czy nie chce”. Ksiądz Gurgacz nie uwierzył w to, co oni mówili, był przekonany, że to UB, ale ponieważ mieli broń, to poszedł z nimi.

A oni faktycznie zaprowadzili go do lasu, do bunkra. Przedstawił się mu dowódca oddziału i powiedział tak: „Proszę ojca. My jesteśmy tylko oddziałem leśnym, ale oprócz nas do oddziału należą też ludzie, którzy normalnie pracują¹⁵. Naszym celem jest budować bunkry i magazynować broń na wypadek wojny (której wtedy się powszechnie spodziewano). A wtedy, gdy będzie pobór do wojska, to ci, którzy będą chcieli tego uniknąć, będą mieli się gdzie schronić. To będzie dla nich taki przytułek, który jest załącznikiem armii, która będzie walczyć z komunistami w imię dobra Polski. Dlatego nazywamy się PPAN – Polska Podziemna Armia Niepodległościowa. Ponieważ ksiądz, jako kapłan, nie może pełnić już normalnie swoich obowiązków, tylko się ojciec ukrywa, a my, jako katolicy i Polacy, nie mamy możliwości wypełniania praktyk religijnych, to ojciec nam będzie tutaj odprawiał nabożeństwa, udzielał nauki, dany ojcu utrzymanie, na ile to będzie w naszej mocy”. Zapytali się ks. Gurgacza, czy się zgadza. Odpowiedział im tak: „Samo doprowadzenie mnie do bunkra już było równoznaczne ze zobowiązaniem mnie do zachowania tajemnicy. Zgadzam się na waszą propozycję, bo będę mógł wpływać na to, żebyście nie zeszli na niemoralną drogę”. Wtedy złożył przysięgę, wrócił po swoje rzeczy i został kapelanem tej organizacji¹⁶.

Wiem, że PPAN prowadziła w tym czasie pewną działalność na terenie powiatu krynickiego. Partyjnym i takim, którzy współpracowali z czerwonymi, dawali odpowiednie nauczki. Takiemu, co do partii wstąpił, to kazali zjeść legitymację partyjną itd. Robili też zbrojne akcje, jakieś napady, ale bliżej to nie wiem. Dotyczyły one jakichś spółdzielni, społecznych pieniędzy, bo na prywatne – to oczywiście nie.

Liczebność oddziału leśnego oceniam na jakieś 20 osób¹⁷. Wszyscy byli „spaleni”. Wiadomo było, że nie mogą już normalnie iść do pracy, bo byli na czarnej liście. Niektórzy z nich byli w AK, ale nie wiem dokładnie którzy.

Dowódcą oddziału był Pióro „Emir”¹⁸. Inni to: Stefan Balicki (były milicjant)¹⁹, Stanisław Szajna „Orzeł” (sierżant w przedwojennym wojsku), Nowakowski²⁰ i Legut-

¹⁵ Polska Podziemna Armia Niepodległościowa albo Polska Podziemna Armia Niepodległościowców była największą powojenną organizacją antykomunistyczną na Sądeczyźnie. Utworzona jesienią 1947 r., miała być organizacją cywilną kładącą nacisk na samokształcenie i krzewienie idei patriotycznych. Z biegiem czasu powstał w ramach PPAN pion zbrojny – oddział leśny „Żandarmeria”, którego celem była ochrona członków pionu cywilnego oraz zdobywanie funduszy głównie poprzez konfiskaty.

¹⁶ Ksiądz Władysław Gurgacz SJ używał w PPAN pseudonimów „Sem” oraz „Ojciec”. Mimo starań ks. Gurgacza władze jezuitów nie zaakceptowały jego pozostawania przy oddziale leśnym i – w obawie przed represjami komunistycznymi w stosunku do całego Towarzystwa Jezusowego – 28 czerwca 1948 r. wykluczyły go z zakonu.

¹⁷ Golik i Musiał piszą, że wiosną 1949 r. oddział „Żandarmerii” liczył niemal 20 ludzi.

¹⁸ Stanisław Pióro ps. „Emir”, „Mohort” był jednym z założycieli PPAN. Zanim poszedł „do lasu”, pracował jako leśniczy z Nawojowej.

¹⁹ Podporucznik Stefan Balicki posługiwał się w PPAN pseudonimem „Bylina”.

²⁰ Leon Nowakowski miał pseudonim „Góral”.

ko²¹ (najmłodszy – 19 lat). Szajna był kiedyś w Sodalizacji Mariańskiej. To był wyjątkowo porządny człowiek.

Bliższych danych na temat uzbrojenia oddziału nie mam. Jakąś broń mieli w bunkrach, ale na akcje chodzili z pistoletami.

Ja nie należałem do oddziału, tylko kontaktowałem się z ks. Gurgaczem.

Ksiądz Gurgacz pożyczył pieniądze od kogoś w Gorlicach na pomoc dla więźniów z tej „nieleśnej” części organizacji²². Dał mi te pieniądze. To było 100 dolarów i 200 tys. złotych. Ja przekazałem te pieniądze człowiekowi, który wcześniej był w seminarium (stąd go znałem), ale odszedł stamtąd. Jak ten człowiek wziął te pieniądze, to zniknął, przepadł, jak kamień w wodę! Osobiście uważam, że mnie nabrał.

Inne moje kontakty z tą organizacją polegały na tym, że pisemnie żeśmy się kontaktowali z ks. Gurgaczem w sprawie możliwości zdobycia pieniędzy na utrzymanie organizacji i na zwrócenie pożyczki. Stało na tym, że trzeba obserwować bank, kto wynosi pieniądze, i w ten sposób... Inaczej się nie dało!

Z lasu przyjeżdżali dwukrotnie na akcję, ale nie dało się jej przeprowadzić, bo warunki były niesprzyjające. Gdy byli w Krakowie, to im wyszukiwałem kwatery.

Akcja na bank nastąpiła 2 lipca 1949 r. Przyjechali z lasu ks. Gurgacz oraz czterech innych: Balicki, Szajna, Nowakowski i Legutko. Umieściłem ich u swoich znajomych przy ul. Krótkiej oraz przy ul. Modrzewskiego pod pretekstem, że to moi znajomi, którzy przyjechali na zwiedzanie Krakowa oraz na badania lekarskie. Ludzie chętnie udzielili im schronienia, bo to było w czasie wakacji i mieli dużo miejsca, czy to po kwaterach, które wynajmowali studentom, czy inne.

Wtedy już prowadziliśmy ciągłą obserwację Banku Narodowego z ławki na Planach. Była też pewna dziewczyna, którą wziąłem na akcję. Było umówione, że najpierw ja z nią przejdę przed nimi, a potem ona wejdzie do banku, a ja pójdę w inną stronę. „Jak ona będzie wychodzić z banku za kimś i będzie wycierać nos chusteczką, to tego weźcie sobie pod uwagę”.

Przebieg zamachu i późniejszej ucieczki znam z rozprawy.

²¹ Adam Legutko używał pseudonimu „Młodzik”.

²² W akcję przeciwko PPAŃ o kryptonimie „Malaga” (później „Karpaty”), prowadzoną przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Sączu, zaangażowanych było kilkudziesięciu funkcjonariuszy UB. Wspierała ich i nadzorowała grupa operacyjna WUBP w Krakowie, na której czele stał naczelnik Wydziału III Stanisław Wałach. Latem 1948 r. pion cywilny PPAŃ został rozbity. W areszcie komunistycznym znalazł się też m.in. Jan Matejak „Brzeski”, pierwszy dowódca „Żandarmerii”. Krótko potem dowodzenie „Żandarmerią” przejął Stanisław Pióro „Emir”, który także musiał się ukrywać. Wiosną 1949 r. brak środków oraz coraz częstsze oblawy UB i KBW w rejonie Hali Łabowskiej (gdzie były kryjówki partyzantów) skłoniły „Emira” do podzielenia oddziału na trzy części. Jedną dowodził Mieczysław Rembiarz „Orlik”, drugą – „Bylina”, a trzecią, najliczniejszą – sam „Emir”. Ksiądz Gurgacz był związany z grupką Balickiego „Byliny”, do której należeli także wymienieni wcześniej przez Michała Żaka: Szajna, Nowakowski i Legutko. „Orlik” został zabity w zasadzce UB 11 VI 1949 r., a trzech inni członkowie jego grupy 13 VII tego roku. „Emir” wpadł w zasadzkę w Czechosłowacji 14 VIII 1949 r. i zginął śmiercią samobójczą, zaś dwaj członkowie jego grupy (Adolf Cecur „Lew” oraz Michał Cabak „Kuna”) zginęli w walce.

Dziewczyna wyszła za dwoma ludźmi. Byli to dwaj woźni, którzy nieśli pieniądze z Banku Narodowego przy ul. Basztowej do Banku Spółek Zarobkowych przy ul. Szpitalnej. Wtedy cała czwórka poszła za nimi. Ksiądz Gurgacz w tym czasie ich obserwował i gdyby ktoś był ranny czy zabity, to miał udzielić ostatniego namaszczenia czy jakiejś pomocy sanitarnej. Na wypadek potrzeby on także miał broń. Oni tymczasem szli ul. Floriańską, potem zbczyli w ul. Solskiego czy św. Marka, w stronę ul. Szpitalnej. Sam zamach miał miejsce już przy ul. Szpitalnej. Napastnicy podeszli do woźnych i powiedzieli im, że mają im być posłuszni. Wzięli ich pod ręce (po dwóch jednego woźnego). Woźni myśleli, że to UB i mocno się stawiali. Wtedy oni uderzyli ich w ręce rękoczyniami pistoletów, wyrwali im siłą teczkę i zaczęli uciekać przyspieszonym krokiem.

Wtedy woźni zaczęli krzyżeć: „Ratunku! Bandyci!” i pobiegli za nimi. Tamci zaczęli się ostrzeliwać, z tym że nikogo nie zranili (później UB czyniło woźnym zarzuty, że byli w znowie, bo nie zostali postrzeleni przez napastników). Uciekali na Pląty, potem w stronę ul. Wielopole do Dietla. Przebiegli pod mostem i na ul. Blich zgubili pościg. Nie mieli opracowanego z góry planu ucieczki. Poszli w stronę ul. Łazarza. Niestety zwracali uwagę, bo nie mieli nakrycia głowy, a w tym czasie wszyscy mężczyźni nosili kapelusze, nawet w lecie.

Tymczasem woźni zadzwonili na milicję i zorganizowano obławę na Grzegórkach. Ulica Łazarza była poza obszarem planowanej obławy. Uciekający mieli jednak pecha, bo szła jakaś służąca od ul. Blich do sklepu na ul. Wielopole (to było w godzinach popołudniowych, po 12:00). Nie wszyscy ludzie udzielali pomocy milicji, gdyż byli przekonani, że to nie bandyci dokonali zamachu, tylko ludzie z lasu. Milicyjny patrol z obławy zatrzymał przypadkowo tę służącą na ul. Blich. Milicjanci zaczęli na nią krzyżeć: „Dokąd idziesz? Skąd jesteś?”. Wylegitymowali ją i zapytali, czy nie widziała czterech ludzi uciekających w tamtym kierunku. I ona powiedziała, że widziała takich mężczyzn, jak przez parkan skakali. Kazali jej pokazać to miejsce. Był tam mały domek. Ściągnęli obławę. Uznali, że jest prawdopodobne, że uciekający schronili się na strychu. Jeden z milicjantów podszedł bliżej i powiedział im, że są otoczeni i żeby się poddali. Zaczęli się ostrzeliwać. Mieli granat, który mieli użyć, aby nie dać się wziąć żywcem. Granat miał Legutko. Gdy przyszedł decydujący moment, to Legutko zaczął płakać i mówić, żeby tego nie robić. Tamci trzej zgodzili się. No i ostatecznie się poddali. Tak skończyła się cała akcja.

W śledztwie zastosowano wobec nich „porządne” metody i Legutko, który okazał się „słaby w tyłku”, wysypał wszystko co wiedział: o ks. Gurgaczu, o mnie, ile razy byli w Krakowie, adresy ludzi, u których spali. O tym, że to Legutko sypał, wnioskuje po tym, że jeszcze w czasie śledztwa, gdy przebywaliśmy w areszcie, to jego traktowali inaczej – on był kalifaktorem: zamiatał, obcierał drzwi. Na to trzeba było zasłużyć.

Ksiądz Gurgacza zatrzymali na ul. Krótkiej, gdzie mieszkał. Ksiądz miał broń, ale jej nie użył, gdyż już wcześniej mówił, że broni w swojej obronie nie użyje.

Po akcji widziałem się jeszcze z ks. Gurgaczem i ksiądz mówił mi, że on nie wie, czy akcja się powiodła czy nie, ale żebym ja się dowiadywał oraz żebym mu kupił bilet do Stróżów. Kupiłem ten bilet, ale wstąpiłem jeszcze na ul. Kanoniczą (gdzie mieszkałem wraz z kuzynem, jako sublokator u krawca Zajdlowskiego pod 15 numerem). Chciałem mu powiedzieć, gdzie ma przysłać listy, gdyby jakieś do mnie przyszły. Tam już czekało na mnie UB. A ten bilet użyłem potem dla siebie, w mojej kombinacji...

Jak UB weszło do krawca Zajdlowskiego, to się go pytali: „Gdzie jest ks. Żak?”. Odpowiedział: „Ksiądz Żak spakował swoje rzeczy do dwóch walizek i wyszedł popołudniu, nie wiadomo gdzie”. Dlatego na UB pytali się mnie, gdzie ja te walizki zaniósłem. Opowiedziałem im następującą historyjkę.

Jak wychodziłem z walizkami, to zjawił się w bramie facet i pytał, czy ja jestem Żak. A potem powiedział: „Chciałem się dowiedzieć, jak sprawa z tym bankiem się udała”. Ja wtedy zacząłem go uważać za swojego człowieka, tzn. człowieka wysłanego przez organizację. Powiedziałem mu, że nie wiem. Właśnie wzięli pieniądze, 300 tys. złotych, ale nie wiem, czy ich złapali, czy nie. Teraz mam bilet, idę zanieść walizki do bagażowni, potem pójdę ks. Gurgacza powiadomić i pojedę. O godzinie 11:00 mam pociąg. On wtedy powiedział: „Dobrze się składa! W takim razie wezmę od księdza te walizki i będę miał gwarancję, że się w Stróżach spotkamy i dowiem się wszystkiego”. I powiedział, że już teraz wyjedzie. Zgodziłem się na to.

UB chyba mi uwierzyło, bo domagali się ode mnie, żebym im pomógł ująć tego człowieka, który wziął te walizki. Obiecywali mi, że jeżeli im pomogę, to mnie wypuszczą. Przyszedł pułkownik Duda²³ – ówczesny szef krakowskiego UB – i powiedział: „Słuchajcie Żak! Czy wy nam pomożecie ująć tego człowieka, który wziął od was te walizki?”. A ja nic. „Daję wam słowo oficerskie, że was zwolnię, jeżeli tylko pomożecie mam tego człowieka ująć”. A Zieliński²⁴ powiedział tak: „Sam pan pułkownik wam rękę podaje, a wy się jeszcze wstrzymujecie?! Nie podajecie mu ręki?!”. No to ja, ociągając się, powiedziałem wreszcie tak: „Dobrze. Pomogę wam go ująć”.

Wyjechaliśmy w nocy jeszcze tego samego dnia, w którym był zamach na bank (co opóźniło moje śledztwo). Jechaliśmy ciężarówką. Umówiliśmy się, że dwie stacje przed Stróżami wysiądziemy. Oni mieli być przy mnie, ale ja miałem nie zdradzać ich obecności i zachowywać się tak, jakbym był sam. Dwóch ubowców zostało przy mnie. Na peronie miałem uważać. Jeżeli będę z kimś rozmawiać i to będzie ten, o którego chodzi, to miałem odwrócić się – wtedy oni mieli go ująć. A gdyby to był ktoś inny, to żebym się nie oglądał, bo wtedy ten „prawdziwy” się przestraszy i ucieknie.

²³ Teodor Duda (ur. 1914) – w bezpieczeństwie od sierpnia 1944 r., od 15 X 1945 do 30 I 1946 r. zastępca kierownika Departamentu III MBP w Warszawie, potem szef WUBP w Rzeszowie, Krakowie (w okresie od 16 X 1948 do 1 III 1950 r.) i Łodzi, w latach 1953-1957 zastępca komendanta głównego MO. Służbę w strukturach bezpieczeństwa państwa zakończył w 1960 r. w stopniu pułkownika. Wielokrotnie oskarżany o nadużycia władzy, nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Zob. dane Teodora Dudy z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, [on-line:] <http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Duda&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=22045&> (24 X 2014).

²⁴ Mowa zapewne o Janie Zielińskim (ur. w 1924 r.), który od 1 VI 1946 do 15 VIII 1950 r. był oficerem śledczym (od 1 VII 1949 r. kierownikiem) Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie. Służbę w strukturach bezpieczeństwa komunistycznego państwa zakończył 31 VII 1976 r. w stopniu podpułkownika jako naczelnik Wydziału „C” KSMO w Warszawie. Zob. dane Jana Zielińskiego z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, [on-line:] <http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Zieli%C5%84ski&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=2&osobaId=72115&> (24 X 2014). Jan Zieliński miał pomagać mjr. Franciszkowi Szlachcicowi w biciu przesłuchiwanym w WUBP w Krakowie – zob. F. Musiał, *Bijemy i bić będziemy*, [w:] *Od Hitlera do Stalina*, red. idem, J. Szarek, Kraków 2007, *Z Archiwów Bezpieki – Nieznane Karty PRL*, t. 6 (pierwodruk: „Dziennik Polski” 2005, nr z 21 I).

Pytali się mnie też, gdzie miałem się zatrzymać w Stróżach. Powiedziałem im, że nie wiem. Dopiero w Stróżach miałem się namyślić, co dalej robić.

Jeszcze zanim dojechaliśmy do Stróżów, przed Tarnowem²⁵, auto się zepsuło. Naprawiali i naprawiali, a auto ani rusz. To była niedziela²⁶ i kierowca powiedział, że ile razy klechę spotyka w niedzielę w drodze, to musi być jakaś awaria. A teraz, nie tylko jest niedziela, ale jeszcze klecha w aucie. To jak się mógł wóz nie zepsuć. Ponieważ nie dali rady naprawić auta, więc dwóch przy mnie zostało, a dwóch poszło do telefonu. I znaleźli auto osobowe, takie jak taksówka.

Długi czas spacerowałem po dworcu w Stróżach i nic. Wreszcie przyjechał pociąg i wysiadł z niego znajomy sokista. Podszedł do mnie, przywitał się. A ja powiedziałem do niego: „Zwiewaj pan stąd, bo mnie tutaj UB pasie!”. Spoważniał i jak pociąg ruszył, to wszedł i odjechał. Jak tego faceta z walizkami nie było, to UB mnie pytało, co to za jeden był ten sokista. Powiedziałem: „To był znajomy z Nowego Sącza”. „A jak on się nazywał?”. „Nie wiem. Jest bardzo uprzejmy. Raz to mi nawet bilet kupił. Ale nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka”. „Poznałbyś go?”. „Poznałbym, jakbym legitymację zobaczył albo zdjęcie”. Poszli na dyżurkę. Jeden z nich przedstawił się, że jest referentem i zażądał, żeby kolejarz legitymacje wszystkich sokistów na stół wyrzucił. Przeglądaliśmy wszystkie legitymacje, ale ja nikogo nie poznałem.

Wtedy powiedzieli, że ja ich chyba nabieram, że cała ta wyprawa do Stróżów, to nabieranie. Ja powiedziałem, że ten człowiek może się wystraszył, a może się dowiedział, że nie wyszło.

Zaprowadzili mnie na milicję w Stróżach. Byli po nieprzespanej nocy i chcieli się zdrzemnąć. Milicjant, który mnie pilnował, wystawił pistolet i powiedział, że jak się ruszę, to strzeli. Próbowałem się też zdrzemnąć, ale nie dałem rady.

Rano²⁷ wyjechaliśmy w drogę powrotną do Krakowa...

Miałem cały czas przy sobie kawałki trumny Anieli Salawy i myślałem sobie tak: „Boże! Żebym ja mógł uciec!”. Już w Stróżach próbowałem uciec, skręciłem za taki dom na dworcu, ale coś za nerwowo i oni zaraz poszli za mną. Wtedy zacząłem sikać.

No więc jechaliśmy autem do Krakowa. Jeden z nich dał mi płaszcz, żebym się przykrył. Chodziło o to, żeby ludzie się nie domyślili, że w aucie jedzie ksiądz. W drodze jeden ubek zasnął (ten, co siedział na tylnym siedzeniu za kierowcą), a drugi (ten, co siedział po mojej prawej stronie), to zasypiał, to się znów budził. A ja myślałem sobie tak: „Panie Boże! Żeby ten koło mnie zasnął na dobre, to może by się udało coś zrobić...”. No i zasnął! Sprawdziłem wzrokiem, czy głowa wejdzie do szybki w tym aucie. Była to szybka boczna, która się odkręcała na korbkę i była odkręcona. Zorientowałem się, że głowa się zmieści. Więc wtedy płaszcz między nogi, kapelusz w zęby, oparłem się jedną ręką o fotel kierowcy, nogi wsadziłem w okienko. Wyleciałem i wypadłem. Auto odjechało.

Obróciło mnie o 180 stopni, wałnąłem o bruk tak, że mi się płaszcz i sutanna na ramieniu rozerwały. Wstałem i patrzę, gdzie by był jakiś lasek. A tu tylko pola. Po le-

²⁵ Stróże to wieś położona 4 km na północ od Grybowa. Znajduje się tam węzeł kolejowy, z którego rozchodzą się linie do Tarnowa, Nowego Sącza i Jasła. Z Krakowa do Stróżów jest dzisiaj ponad 120 km. W realiach końca lat 40., zakładając średnią prędkość 30 km/h podróż z Krakowa do Stróżów zajmowała 4 godziny.

²⁶ Akcja na bank była w sobotę 2 VII 1949 r. Wyjazd do Stróżów nastąpił zapewne w nocy z 2 na 3 VII, ale awaria samochodu nastąpiła już w niedzielę 3 VII 1949 r.

²⁷ A więc był to już poniedziałek 4 VII 1949 r.

wej stronie jednak było jakieś zбочe i kupka krzaków. To może tam? Szybko pobiegłem, już nie szosą, tylko polami. Widzę – chłop pasie dwie krowy na łańcuchu. Płaszcz ubowski już wtedy miałem rozpięty, widać było, że mam sutannę. Powiedziałem do tego chłopca: „Jakby się was pytali, czy ktoś tędy biegł, to powiedzcie, żeście nikogo nie widzieli!”. Chłop kiwnął głową i powiedział: „Dobrze”. Dobiegłem do tego miejsca, gdzie kończyło się zboże, a zaczynały zabudowania. A tu zobaczyłem, że to był parkan z drutem kolczastym! Pobiegłem wzdłuż tego parkanu, miedzą. Zobaczyłem kobietę, która pasła krowę. Powiedziałem do niej to samo, co do tego chłopca, i ona także przytaknęła.

Co chwila oglądałem się za siebie, na szosę i na auto, które było z tego pagórka bardzo dobrze widać. Gdy zauważyłem, że auto stanęło, to od razu wskoczyłem w żyto, kucnąłem i czekałem, co będzie. Usłyszałem głosy, kłótnię. Widać doszli do tego chłopca. Potem cisza, strzał i skowyt psa. I chłop krzychał: „Jakim prawem pan mojego psa zastrzelił?!”. Okazało się potem, że oni przeskoczyli przez ten parkan, a tam był pies. Chwycił jednego z nich za nogę i go zastrzelili. Wtedy zorientowali się, że ja tamtędy nie uciekłem, skoro im się to przydarzyło.

Poszli do tej kobiety. Jak usłyszałem, że do niej podchodzą, to w nogi! Przeszedłem przez miedzę i położyłem się w drugiej bruździe, żeby mnie tam nie znaleźli. A oni szukali dalej.

Poszli najpierw w stronę zabudowań gospodarczych, ale tam żadnych śladów nie znaleźli. Wrócili i szukali w „mojej” stronie, ale żaden z nich nie zauważył, że tam kłosa żyta musiały być trochę połamane i mnie nie znaleźli. Wreszcie odeszli w stronę drogi. Ale musiałem poczekać, bo mogli obserwować, czy się im gdzieś nie pokażę.

Tymczasem lunął deszcz. Niedługo, może pięć minut i przestał. Trochę mnie zmoczyło. Powiedziałem sobie: „Teraz, to już będę uciekał!”. Podniosłem głowę, a tu strzał! Kulka – zdawało mi się – jakby koło mojej głowy przeszła! No to ja znowu upadłem w żyto. Po jakimś czasie znowu strzał. I tak co parę minut strzelał.

Po jakieś pół godziny usłyszałem gwar. Wyrząłem i zobaczyłem, że przyjechały trzy lub cztery wozy ciężarowe. Wskoczyli z nich wojskowi, milicjanci i cywile i rozbiegli się po wzgórzu.

W pewnym momencie widzę, że idzie dwóch: ten referent i żołnierz z KBW z pepuchą. Rozdzielili się. Ten żołnierz uważnie patrzył po życie i zauważył połamane źdźbła. No i jak dalej patrzył, to i mnie zauważył. Przestraszył się, chwycił za karabin i krzyknął: „Ręce do góry!”. Pomyślałem sobie: „Jak ja leżę, to jak ja ręce do góry podniosę?”. No, ale jakoś podniosłem. A on wtedy krzyknął: „Wstawać!”. Jak ja mogłem wstać, jak nie miałem się na czym oprzeć? Więc opuściłem ręce i dopiero wtedy wstałem. Żołnierz mnie wtedy dwa razy uderzył w twarz. Chciał jeszcze kolbą poprawić, ale ten drugi powiedział: „Daj spokój! Ja za niego odpowiadam i nie chcę, żeby były znaki!”.

I na tym się skończyło.

Poprowadzili mnie do auta i krzyczeli na kierowcę, że musiał dobrze widzieć, że to jest niemożliwe, żeby nie widział, jak ja wyskoczyłem przez okno. Kierowca im odpowiedział, że był odpowiedzialny za to, żeby nikogo nie przejechać po drodze, a nie za odwiezienie mnie na miejsce.

Potem mi powiedzieli, jak to było, że od razu wpadli na mój trop. Okazało się, że kierowca zauważył jakąś kobietę, która szła w tym samym kierunku co auto. Ona oglądała się do tyłu w tym samym momencie, w którym ja wyskoczyłem. Jak potem wrócili

i pytali ją, czy mnie nie widziała, to ona im wskazała, gdzie wyskoczyłem i w którą stronę pobiegłem. Dlatego od razu wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Dowiedziałem się także, skąd się wzięły te auta. Otóż, jak wyszli na drogę, to zatrzymali faceta na motocyklu. Referent okazał mu legitymację ubecką, zabrał mu dokumenty i dał mu kartkę, żeby ją zawiózł do milicji w Tarnowie. „Jak przyniesiesz pokwitowanie od milicji w Tarnowie, żeś oddał karteczkę, to wtedy ci oddamy dokumenty!”. Tak też się stało. W Tarnowie zmobilizowali milicję, KBW i wojsko, no i przyjechali.

Jak już jechaliśmy autem, to słyszałem, jak jeden z nich zapytał się drugiego: „Słuchaj, powiesz to staremu?”. A ten odpowiedział: „Cały Tarnów postawiłem na nogi, a teraz miałbym nie powiedzieć?”. I dopiero teraz zaczęli na mnie krzyczeć, że ja ich oszukałem, żeby wypatrywać sposobności do uciezki.

Podczas śledztwa byliśmy bici. Ksiądz Gurgacz był tak zbity, że twarz miał całą siną i zapuchniętą. Jak była konfrontacja z księdzem, to kazali mi, żebym się do tyłu nie oglądał. W czasie tej konfrontacji pytali ks. Gurgacza, czy dał mi pieniądze (100 dolarów i 200 tys. złotych). On powiedział, że dał mi te pieniądze na pomoc dla więźniów z organizacji. Odwróciłem się i powiedziałem: „Nieprawda! Nie otrzymałem żadnych pieniędzy!”. Wtedy zobaczyłem, że całą twarz miał obandażowaną, a wokół oczu sińce²⁸.

Mnie nie mieli wiele czasu „zrobić”, ponieważ był to tryb wojskowy i śledztwo musiało zakończyć się w ciągu miesiąca, a zorientowali się, że byłem – jak mówili – „uparty jak kozioł”. Sporządzili dziesięć pytań, na które żądali, abym odpowiedział. Pytali się mnie przede wszystkim o tę dziewczynę, która wyszła z banku i wskazała portierów. Powiedziałem im: „Nie wiem, jak ona się naprawdę nazywa. Wiem tylko, że w domu mówią na nią «Lalunia»”. Dziwili się, jak ja mogłem powierzyć takie ważne zadanie osobie, której nazwiska nawet nie znałem. Powiedziałem im: „Nazwisko nic nie znaczy, nie decyduje o tym, czy ktoś zasługuje na zaufanie. Czyn dopiero określa wartość każdego człowieka”. Ponieważ ja byłem w sutannie, to oni pytali mnie: „Jak ty mogłeś pytać młodą kobietę, gdzie ona mieszka? Co ona sobie mogła pomyśleć?”. A ja powiedziałem, że znałem ją tylko z kościoła Franciszkanów. „Oboje chodziliśmy tam na mszę na godzinę 6:00. Kilka razy pytała mnie o swoje wątpliwości, dotyczące religii katolickiej. Byłem od niej starszy, a ona nie wiedziała, że ja jeszcze nie jestem księdzem. Miała do mnie pełne zaufanie, a ja do niej. W krytycznym dniu oni przyjechali dzień wcześniej, przenocowali i dopiero na drugi dzień poszli na akcję. W tym dniu rano poszedłem do kościoła, wiedząc, że ona też tam będzie. Po mszy jej zaproponowałem udział w akcji i zgodziła się. Ale nazwiska jej nie znam”²⁹.

Przed procesem trzymali mnie przy Placu Inwalidów³⁰. Nie bili mnie, ale stosowali „stójkę”. Taka „stójka” trwała kilka dni i nocy, bez przerwy. Nawet do ustępu nie pozwa-

²⁸ W pierwszym etapie śledztwa ks. Gurgacza przesłuchiwali funkcjonariusze operacyjni UB z Nowego Sącza i z Krakowa: Jan Bądek, Adam Błażejczyk i Bolesław Tomiak. Potem przesłuchania prowadzili funkcjonariusze z Wydziału Śledczego: Tadeusz Ziarko i Henryk Capiga.

²⁹ Cały ten fragment to opis zeznań Michała Żaka złożonych w czasie przesłuchiwania na UB, a nie odzwierciedlenie stanu faktycznego. W rzeczywistości Żak, jako jedyny spośród aresztowanych, znał dane tej kobiety – w latach 80., gdy poznałem Michała, ona żyła i potwierdziła, że w czasach stalinowskich nie została nigdy aresztowana. Jest to dowód, iż Michał rzeczywiście nie wydał jej UB.

³⁰ Przy Placu Inwalidów w Krakowie mieściła się siedziba WUBP.

lali iść. Dobrze, że człowiek nic nie jadł... Kazali tak stać, lampą „pięćsetką”³¹ świecili prosto w oczy i pytali się setki razy, ciągle o to samo, ciągle o to samo... Ze zmęczenia wydawałem nieartykułowane dźwięki. Mówili też, że dadzą mi zastrzyk. Wzięli mnie do pomieszczenia, gdzie stały w słoikach różne ciecze i obiecywali, że po takim zastrzyku, to ja będę śpiewał jak kanarek. Mnie to mówili, aptekarzowi z praktyką, technikowi farmaceutycznemu, że są medykamenty, które osłabiają wolę, po których będę gadał, co tylko będę chcieli. Ale ja w tych sytuacjach, wyczerpany i niewyspany, mówiłem jakieś nieartykułowane wyrażenia, tak że oni nic z tego się nie dowiedzieli. Mówiłem im, że jeżeli mam im powiedzieć coś, co się „trzyma kupy”, to muszę być świadomy. W końcu nie dali mi tych zastrzyków, tylko grozili, że jak mi dadzą, to mogę stracić życie. Ale ja na śmierć byłem gotów od samego początku. Nie miałem ojca ani matki, narzeczonej, niko- go – to ja na śmierć byłem gotów! Wiedziałem tylko, że za jeden grzech siedzi się w pie- kle tyle samo, co za dziesięć. A ja miałem jedną rzecz, której nie mogłem powiedzieć!³²

Proces³³ był u św. Michała³⁴, w którejś sali obok więzienia³⁵. Więzienie było w tym czasie otoczone działami przeciwlotniczymi, tak jakby miał być nalot, a więźniowie nie otrzymywali paczek ani nie mieli widzeń. Obawiali się bowiem, że będzie jakaś pró- ba odbicia więźniów³⁶. Pamiętam nazwiska tych, którzy mnie przesłuchiwali: Zieliński i Zborowski³⁷, a śledczym był Gałuszka³⁸ – podobno niedoszły kleryk. W procesie oskar- życielem był niejaki Wroński czy jakoś tak³⁹.

³¹ Lampa o mocy 500 wat.

³² Mowa o ujawnieniu danych kobiety, która brała udział w akcji.

³³ Proces osób oskarżonych o udział w akcji przy ul. Szpitalnej toczył się w Krakowie od 8 do 13 VIII 1949 r.

³⁴ Mowa o więzieniu urządzonym w gmachu poklasztornym Karmelitów Bosych, obok kościoła św. Michała, który zlikwidowano w latach 1832-1835, przekształcając w salę sądową. Obecnie w tym zespole budynków znajduje się Muzeum Archeologiczne w Krakowie (róg ulic: Poselskiej i Senackiej).

³⁵ Była to sala nr 16 Sądu Okręgowego przy ul. Senackiej w Krakowie.

³⁶ Zapewne żywa była jeszcze pamięć o akcji żołnierzy „Ognia” (dowodził Jan Janusz „Siekiera”), którzy 18 VIII 1946 r. odbili z więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Poselskiej (dawnego cesarskiego więzienia św. Michała) 64 więźniów.

³⁷ Mowa zapewne o Janie Zborowskim (ur. w 1923 r.), który w latach 1945-1947 brał udział w walkach z oddziałem „Ognia”, a od 1 IX 1947 do 1 VIII 1950 r. był oficerem śledczym Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie. Służbę w strukturach bezpieczeństwa komunistycznego państwa zakończył 14 VI 1975 r. w stopniu podpułkownika jako zastępca dowódcy placówki w Centralnym Porcie Lotniczym Warszawa-Okęcie. Zob. dane Jana Zborowskiego z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, [on-line:] <http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Zborowski&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=41036&> (24 X 2014).

³⁸ Mowa zapewne o Franciszku Gałuszce, który od 1 V 1949 do 1 VII 1951 r. był naczelnikiem Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie (zob. *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, t. 1: 1944-1956, red. K. Szwagrzyk, Warszawa 2005, s. 243). Gałuszka i Zieliński stosowali brutalne metody przesłuchań, np. w czasie przesłuchania Juliana Słupika ps. „Boruta 22” – dowódcy oddziału z IV batalionu 120 pp 106 Dywizji AK – w szpitalu więziennym w Krakowie odjęli mu pół stopy. Zob. F. Musiał, *op. cit.*

³⁹ Oskarżycielem w „procesie bandy ks. Gurgacza” (jak propaganda komunistyczna określała ten pokazowy proces) był Henryk Ligieża (ur. w 1912 r.). Ligieża w okresie od 15 X 1948 do 15 VIII 1950 r. był prokuratorem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Katowicach, a w latach 1950-1955 prokuratorem Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Był absolwentem wydziału prawa UW (1936),

Na procesie najpierw zeznawał ks. Gurgacz, potem ja. Padło m.in. takie pytanie, odnośnie mnie: czy ja się przyznaje do winy? Powiedziałem: „Do czynu – tak, ale do winy – nie mogę. Działalem w imię katolickich zasad. Katolickie zasady mówią, że dla zabezpieczenia siebie lub kogoś od głodu i chłodu można nawet wziąć temu, co ma, jeżeli nie ma innych sposobów. Z tym, żeby wybierać takiego, który jest najbogatszy”. Tak samo zeznawał wtedy ks. Gurgacz, ale mówił też na procesie, że ówczesny rząd nie jest rządem polskim, tylko że to są uzurpatorzy nasłani przez Kreml. Ksiądz tłumaczył się więc także względami politycznymi, natomiast ja podkreślałem, że działałem z pobudek charytatywnych. „Uważałem bowiem, że mam obowiązek w sumieniu pomóc im tyle, ile to będzie w mojej możliwości”. Wtedy sędzia⁴⁰ się mnie zapytał, dlaczego przekazałem informacje dotyczące mienia społecznego, państwowego. Odpowiedziałem: „Ponieważ państwo skonfiskowało mienie wszystkim bogatym obywatelom, to państwo stało się największym bogaczem”.

Po wyroku wiem, że do ks. Gurgacza wysłali kobietę, która go nakłaniała, żeby prosił o łaskę, to na pewno go ułaskawią. Rozmawiał też z nim o tym jego adwokat. Ale ksiądz ciągle podkreślał, że tu nie ma rządu polskiego, tylko jest w Londynie. A ta kobieta, która przychodziła do więzienia, przekonywała go, że ma dopiero 34 lata i że jeszcze ciągle będzie mógł przez co najmniej 30 lat mówić kazania. A ks. Gurgacz odpowiadał na to: „Jeżeli będzie tak, jak teraz, że jeszcze można te kazania, chociaż ograniczone, mówić, to jest dość księży, którzy będą mogli je głosić. A to, że wy mnie zabijecie, będzie miało większe znaczenie, aniżeli, gdybym przez 60 lat kazania głosił. Bo takich, jak ja, będzie niewielu, a może tylko ja sam”.

Jeżeli chodzi o mnie, to ja adwokatowi nie zabraniałem, żeby prosił o łaskę dla mnie. Sam nie prosiłem, tylko adwokat. A ks. Gurgacz zabronił adwokatowi. Adwokat ks. Gurgacza nazywał się Ostrowski⁴¹, a mnie bronił adwokat Zawadzki.

Wyrok był surowy: cztery kary śmierci (dla ks. Gurgacza, Szajny, Balickiego no i dla mnie⁴²). Nowakowski dostał 15 lat, a Legutko – 10.

byłem żołnierzem AK i uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Po powrocie do Polski z niemieckiej niewoli w 1945 r. wstąpił do PPR. W 1955 r. został zwolniony dyscyplinarnie z wojska za nadużycia władzy. Pracował potem jako radca prawny i arbiter Głównej Komisji Arbitrażowej. Zob. K. Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944-1956*, Kraków–Wrocław 2005.

⁴⁰ Składowi sędziowskiemu przewodniczył Stanisław Stasica – szef Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Ponadto w składzie orzekającym byli: Ludwik Kiełtyka oraz ławnik Mieczysław Motyczko.

⁴¹ Mowa prawdopodobnie o mec. Kazimierzu Ostrowskim (1907-1999), absolwencie UJ, doktorze nauk prawnych, adwokacie (od 1934 r.), uczestniku Powstania Warszawskiego. Kazimierz Ostrowski był obrońcą w wielu procesach politycznych zarówno w czasach stalinowskich (uczestników manifestacji 3 V 1946 r., działaczy WiN, oskarżonych w procesie kurii arcybiskupiej w Krakowie), jak i po 13 XII 1981 r. (m.in. Tadeusza Piekarza i Stanisława Handzlika). Zob. S. Płazek, *Szpalty pamięci. Adwokat dr Kazimierz Ostrowski (1907-1999)*, [on-line:] http://www.adwokatura.pl/aktu_alnosci_szpaltypamieci_1202.htm (18 V 2007).

⁴² Z niezrozumiałych powodów Dawid Golik i Filip Musiał w przywoływanym tu artykule nt. procesu ks. Gurgacza i innych, wymieniając nazwiska osób skazanych na kary śmierci, pomijają nazwisko Michała Żaka, choć wspominają, że był on także sądzony w tym procesie. Autorzy pomijają też całkowicie nazwiska Nowakowskiego i Legutki. Imiona i nazwiska wszystkich skazanych oraz informację o skazaniu Michała Żaka na karę śmierci podają natomiast inne źródła – zob. w szczególności: AIPN Kr 074/75, Charakterystyka Nr 76, organizacja „Polska Podziemna Armia Niepodległościowców” i jej bojówka zbrojna „Żandarmeria PPA” - znana jako „Żandarmeria”, 13 XI 1987, s. 23.

Skończył się proces, dostałem karę śmierci... Zresztą byłem na to przygotowany. Pomyślałem sobie: „No to teraz trzeba się przygotować na śmierć!”. Ale cały czas jakąś tam nadzieję miałem. Wiedziałem, że wszystko jest w rękach Boga.

Po procesie wszystkich skazanych wladowali na auto i zawieźli na Montelupich⁴³, a mnie jednego wsadzili do innego auta i zawieźli z powrotem na Plac Inwalidów. Zieliński tak do mnie powiedział: „A teraz skurwysynu będzie się z tobą działo to, co na filmie *Rzym, miasto otwarte*”. Inni ubecy, którzy nie wiedzieli, o co chodzi, pytali się: „Co się stało?”. A Zieliński im na to odpowiedział: „Bo ten skurwysyn powiedział w śledztwie, że choćby się z nim działo to, co na filmie *Rzym, miasto otwarte*, to nie powie nic o tym, o co go pytamy”. Tamci drudzy pytali się mnie, czy rzeczywiście tak powiedziałem. Ale ja zaprzeczyłem i odpowiedziałem im, że nawet na tym filmie nie byłem. A tymczasem rzeczywiście tak mówiłem do Zielińskiego w czasie jednego z przesłuchań. On mnie ciągle pytał i pytał, więc się zdenerwowałem i powiedziałem: „Nie i nie! A nawet, jakbym coś wiedział, to choćby się działo to, co na filmie *Rzym, miasto otwarte*, to i tak bym nie powiedział”. Powiedziałem to w śledztwie, żeby go załamać. Z jak wielką satysfakcją patrzyłem na nich! „Choć fizycznie jestem wykończony, choć możecie mnie zabić, ale nie potraficie zmusić mnie do tego, żebym powiedział to, co chcecie!”. I nie mieli na to sposobu! Jacy to mizeracy byli! Taką przynajmniej człowiek miał satysfakcję!

Wtedy już się nie krępowali z „eksperymentami”, bo byłem skazany na śmierć. Tak że już tej „stójki” to prawie nie było, tylko karcer. W karcerze byłem cały czas nago. Człowiek ani się nie golił, ani nie mył. Jak mróz przyszedł, to tam już prawie wody nie było, tylko kał i mocz (bo kibla nie było) – gdzieś tak po kostki. Nie było żadnego stołka, więc jak już nie mogłem stać, to musiałem usiąść w tej wodzie albo oprzeć się przy ścianie. Cały karcer był z betonu, tylko drzwi były drewniane, więc opierałem się o drzwi. Jedzenie? Czasami wsuwali czarną kawę albo czarną zupę. Ale łyżki nie dawali. Nie chciało mi się jeść, ale pragnienie miałem.

Jak brali na śledztwo to takie ciężkie narciarskie buty, okute z przodu, zakładali i kazali żabki robić. A jak tu człowiek te żabki miał robić? Jak jedną nogą do przodu ruszyłem i potem drugą, to przewracałem się. A jak się przewracałem, to wtedy zwykle w tyłek kopali. A zwłaszcza okropnie bolało w kość ogonową. Myślałem, że tam jest miazga z tej kości ogonowej. Ale przekonałem się, że człowiek faktycznie bardzo wiele może wytrzymać – to jest organizm naprawdę cudowny!

Potem było coraz gorzej. I w twarz bili, i bykowiec⁴⁴ przy tym był w użyciu... A w karcerze byłem coraz to dłużej. Najpierw jedną noc, potem noc i dzień, z przerwą na śledztwo i na tę „gimnastykę”. Najdłużej siedziałem w karcerze (bez przerwy) tydzień i jedną noc.

Przesłuchiwali mnie Zieliński i Zborowski. To mieli być lwowiaki, ale mówili takim językiem, że wydaje mi się, że bardziej ze wschodu byli⁴⁵. Ale po polsku umieli. Najpierw stawiali mi dziesięć pytań, na które powinienem im odpowiedzieć. Po paru

⁴³ W budynku przy ul. Montelupich 7 w Krakowie od 1919 r. znajduje się areszt śledczy. W czasach hitlerowskich oraz po II wojnie światowej na terenie tego aresztu odbywały się także egzekucje więźniów.

⁴⁴ Bykowiec – bicz wykonany z rzemienia.

⁴⁵ Z katalogu IPN wynika, że Jan Zborowski urodził się w Jugowicach (wieś na Dolnym Śląsku), a Zieliński we Francji, ale te dane personalne mogły być fałszywe.

miesiącach zredukowali te dziesięć pytań do siedmiu i mówili, że jest siedem grzechów głównych, więc mnie, jako duchownego, obdarowali katechizmem. Cały czas odpowiadałem, że nie wiem.

Przychodził Gałuszka i pytał: „To jak? Śpiewa?”. A ten, co mnie przesłuchiwał, odpowiadał: „Ryczy jak niedźwiedź. Mówi, że nie wie”. A Gałuszka: „To jak? Chrystus szedł pokornie, jak baranek, na zabicie, a ten ryczy jak niedźwiedź?”. Jak mnie wtedy ten, który mnie przesłuchiwał, uderzył w twarz! Ja miałem wrażliwą błonę śluzową i od razu od środka na zębach się przecięło. Odwróciłem twarz w drugą stronę i jak mnie ponownie uderzył, to krew, która się zebrała w ustach, chlusnęła na ścianę. Wtedy Gałuszka powiedział: „I co teraz będzie? Nieostrożnie to robisz. To się tak robi, żeby nie było śladów, żeby nie było krwi”.

Pewnego razu mi powiedzieli, że to jest moja ostatnia szansa, ponieważ prezydent Bierut⁴⁶ nie zastosował prawa łaski. Jak im odpowiem na te pytania, to jeszcze postarają się o ulaskawienie, jeżeli nie – to wyrok wykonają. Zawiązali mi ręce z tyłu, głowę zawiązali chustką, żebym nic nie widział i poprowadzili mnie gdzieś pod mur (bo gdy dotknąłem go nosem, to poczułem zimno). „Będziemy liczyć: raz, dwa, trzy. Jak powiem «raz», to jeszcze możesz odpowiadać. Jak powiem «dwa», to też jeszcze możesz się uratować. Ale jak powiem «trzy», to będzie już równocześnie ze strzałem w głowę. Poczuję z tyłu na głowie dotyk pistoletu. Zaczęli liczyć. Zebrałem wtedy w sobie wszystkie siły i starałem się w sobie wzbudzić żal, żeby z Panem Bogiem sprawę załatwić. I tak zacząłem sobie rachunek sumienia robić i żal wzbudzać, a oni liczyli. „Raz” – ja nic. „Dwa” – ja też nic. Zamiast „trzy” i strzału palnął mnie czymś twardym w głowę tak, że się przewróciłem. Chwycił mnie za kołnierz, zaczął mnie kopać i krzychał: „Przedtem, to przynajmniej ryczał, jak niedźwiedź: «Nie wiem. Nie wiem», a teraz to nic nie mówi!”. I z powrotem wzięli mnie do pokoju przesłuchań, a potem – karcer.

Wreszcie, na skutek tego wszystkiego, dostałem wysokiej gorączki. Wtedy mi nie zależało, co tam będą ze mną robić. Już tylko modliłem się o rychłą śmierć. Ręce mi zapuchły. Czasami byłem nieprzytomny i bredziłem. Wystraszyli się i wezwali lekarza i prokuratora. Prokurator kazał mnie dać na salę, gdzie było więcej ludzi, żeby mnie pilnowali. Wtedy umieścili mnie w sali, gdzie było nas chyba z dziesięciu. Sala była też na Placu Inwalidów. Starszym celi był kpt Danecki, ze 106 dywizji AK, którą dowodził płk Ostrowski „Tysiąc”⁴⁷. W tej sali były już prycze, wprawdzie z dykty, bez siennika, a więc twarde, ale zawsze było to lepsze, niż spanie na betonie, w zwykłej celi. Tam przychodził do mnie lekarz i doszedłem do siebie.

Na przeciwko naszej sali był karcer zrobiony z łazienki. Tam wpuszczali przez wentylator zimne powietrze z zewnątrz. Trzymali tam też nagich ludzi. Tak mi to kpt Danecki opowiadał. Czasami było stamtąd słyhać głosy kobiece, ale takie bardzo młode, jakby głosy dzieci. Te osoby wołały: „Mamo! Mamo! Tu jest zimno! Ja tu marznę!

⁴⁶ Mała Konstytucja z 1947 r. przywróciła w Polsce urząd prezydenta RP. Był nim Bolesław Bierut, wybrany przez Sejm Ustawodawczy.

⁴⁷ 106 Dywizja Piechoty AK kryptonim „Dom” powstała w 1944 r. w Okręgu Kraków. Dowodził nią ppłk Bolesław Nieczuja-Ostrowski (1907-2008). Po rozwiązaniu dywizji wyjechał wraz z grupą żołnierzy na Ziemię Odzyskane (pod Elblągiem), gdzie go aresztowano w 1949 r. Został potem dwukrotnie skazany na karę śmierci. W więzieniu spędził siedem lat. Zob. S. Piwowarski, *Niezwykłe życie generała brygady Bolesława Michała Nieczui-Ostrowskiego, pseudonim: „Bolko”, „Grzmot”, „Tysiąc”, „Michalowicz”*, „Informator Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej” 2007, nr 3, s. 4.

Mamo!”. Te głosy bardzo denerwowały moich współwięźniów, tak że mało nie rozwalili drzwi, żeby tam pobiec.

Na Placu Inwalidów spotkałem też (w sierpniu 1949 r.) młodego chłopca, który nazywał się Henio Machała⁴⁸. On był z „Wiarusów”⁴⁹. Jakiś ubek⁵⁰ wprowadził ich w błąd i obiecał, że ich autem przewiezie w głąb Czech. A oni tymczasem przyjechali na Plac Inwalidów. Od Daneckiego wiem, że wtedy podobno doszło do strzelaniny na dziedzińcu. Nie wiem, czy ktoś był ranny czy zabity⁵¹.

Machała mi opowiadał, że wystrzelali paru milicjantów, ale uważał, że on, taki młody (chyba najmłodszy z „Wiarusów”), jak będzie lawirował i niewierzącego udawał, to mu to coś da. Rozmawialiśmy o tym. Mówił, że wiara mu nic nie dała, że „Wiarusi” nosili ryngraf⁵² na piersi, a mimo to przegrali z ateuszami. Spodziewał się, że dostanie najwyżej dożywocie, a tymczasem, jak poszedł na rozprawę, to dostał 14 kaesów⁵³.

Już na Monte dowiedziałem się od więźnia, który siedział z Grosmanem na celi kaesów i wyszedł stamtąd (nie wiem jak), że Machała bardzo żarliwie się modlił przed spaniem – składał ręce do pacierza jak dziecko. W celi kaesów były dwie żelazne kraty, które bardzo skrzypiały. Jak brali ludzi na rozwałkę, to do celi wchodził „Francuz” i ręką wskazywał, który ma iść na śmierć. Jak jastrzęb upatrywał ofiary. W tym dniu, gdy Machała rozstrzelali i „Francuz” wszedł do celi, to Machała modlił się i nawet się nie oglądał, gdy ten otworzył celę. „Francuz” powiedział do niego ściszym głosem: „Ty

⁴⁸ Henryk Machała (ur. 1928) używał pseudonimów „Jaksa”, „Gryf”.

⁴⁹ „Wiarusy” to oddział partyzancki, który ukształtował się wiosną 1947 r. po rozbięciu Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica”, którym dowodził mjr Józefa Kuraś „Ogień”. Trzon oddziału stanowiła 3 kompania Zgrupowania „Błyskawica” (3 kompania AK), która pozostała w lesie po śmierci „Ognia”. Na czele oddziału stał Józef Świder „Mściciel”, który zginął w potyczce z UB w Lubniu 13 II 1948 r. Doszło do dezorganizacji całej grupy. Latem 1949 r. niedobitki „Wiarusów”, którymi dowodził wówczas Stanisław Ludzia „Harnaś”, zostały zlikwidowane w wyniku gry operacyjnej w oparciu o plan opracowany przez oficerów UB: mjr. Franciszka Szlachcica oraz mjr. Stanisława Wałacha. Zob. D. Gołik, *Oddział „Wiarusy” i jego rozbięcie*, [on-line:] <http://podziemiezbrojne.blox.pl/2010/05/Oddzial-Wiarusy-i-jego-rozbiecie-czesc-12.html> (24 X 2014).

⁵⁰ Tym ubekiem był Marian Strużyński (1922-2004), były żołnierz AK, członek WiN, pozyskany przez UB do współpracy w VI 1947 r. Jako agent występował pod pseudonimem „7”. W 1957 r. Strużyński został etatowym pracownikiem SB, a potem... pisarzem. Zob. *ibidem*. Strużyński jako Marian Reniak był autorem m.in. głośnej książki *KPN. Kulisy fakty dokumenty*, (Warszawa 1982, 1984) napisanej we współpracy z ówczesnym pułkownikiem SB, kierującym rozpracowaniem KPN, Zbigniewem Pudyszem oraz Tadeuszem Zalewskim. Książkę wydano w 1982 r. w nakładzie 50 tys. egzemplarzy.

⁵¹ Porucznik „Henryk” (czyli agent UB Strużyński) obiecał przewiezienie trzech partyzantów „saniarnym autem” do angielskiej ambasady, skąd mieli być przetrzuceni na Zachód. 16 VII 1949 r. „Harnaś”, Mieczysław Łysek „Grandziarz” i Edward Skórńóg „Szatan” wsiadli do podstawionego w Obidowej auta, w którym było dwóch funkcjonariuszy UB udających pracowników placówki brytyjskiej. Wszyscy wylądowali na dziedzińcu WUBP przy Placu Inwalidów. Doszło do strzelaniny, w wyniku której zginęli Łysek i Skórńóg, a Ludzia został ranny i trafił do aresztu. 25 VII 1949 r. pozostali żołnierze (m.in. Henryk Machała) zostali podstępnie aresztowani na polanie Surówki, koło Rabki. Ludzia, Machała oraz Jan Jankowski i Leon Zagata zostali następnie skazani na kary śmierci. Wyroki wykonano 12 I 1950 r. W egzekucji uczestniczyły te same osoby, które brały wcześniej udział w rozstrzelaniu ks. Gurgacza, Balickiego i Szajny (zob. dalej).

⁵² Metalowe ryngrafy (nawiązujące do części zbroi rycerskiej), zwykle z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, były często noszone przez polskich powstańców i partyzantów, podkreślających swoją religijność, poczynając od konfederatów barskich.

⁵³ Kaes – potoczne określenie kary śmierci.

chodził”, ale dopiero jak wymienił jego nazwisko, to Machała się zorientował, że o niego chodzi i odpowiedział: „Zaraz, zaraz, tylko skończę się modlić”. Skończył pacierz, po pacierzu podał rękę każdemu, kto siedział razem z nim w celi i powiedział: „Do widzenia, chłopcy!”. Powiedział to bardzo spokojnie i wyszedł.

22 marca 1950 r. przenieśli mnie na Monte.

Tam spotkałem się z Franciszkiem Kładkowskim, który był jakimś krewnym ks. Gurgacza. Prześladowali go, bo akurat pasował do podanego przeze mnie rysopisu faceta, który miał zabrać moje walizki (powiedziałem: „Mały, niski, czarny, podłużny na twarzy, wyglądał raczej jak ze wsi”). On o niczym nie wiedział, a UB ciągle go pytało i pytało o te walizki.

Spotkałem się też z innymi. Jeden nazywał się Lichoń. Nazwisk innych nie pamiętam. Opowiadali, że chcieli uciekać na Zachód. Jakiś przewodnik, jak się potem okazało – ubek, wyprowadził ich w góry, obiecując, że przeprowadzi ich przez czeską granicę. Tymczasem w górach zostali otoczeni przez wojsko. Zginął dowódca grupy – Pióro⁵⁴. Niektórzy mówili, że Pióro popełnił samobójstwo, gdy zorientował się, że ich otoczyli. Z tymi ludźmi więcej się nie widziałem. Była to jedna z trzech grup PPAN (obok grupy ks. Gurgacza i jeszcze jednej).

Na ks. Gurgaczu oraz pozostałych wyroki wykonano w ciągu miesiąca po rozprawie (dokładnie nie wiem kiedy⁵⁵). Na Monte dowiedziałem się, że po rozprawie wyprowadzili go do karceru i tam go trzymali. Stamtąd go wzięli na rozstrzelanie, razem z Szajną i Balickim. Egzekucji dokonał „Francuz”⁵⁶, [tak go nazywano], bo przyjechał z Francji, gdy stamtąd wypędzali Polaków, którzy byli za bardzo „czerwoni”. Ten „Francuz” podobno wykonywał wyroki na Monte. Byli też inni, ale on najwięcej – to wiem z opowiadania współwięźniów.

O ks. Gurgaczu to wiem jeszcze, że gdy przebywał w więzieniu, to dawał rozgrzeszenia, robił różańce z chleba, rozdawał więźniom komunię świętą, a jak była jego egzekucja, to więźniowie słyszeli więcej strzałów niż jeden.

Na Monte siedziałem jeszcze z bratem Chromikiem i bratem Mrozem – jezuitami, którzy dostali wyrok za to, że przepisywali na maszynie list Episkopatu.

A potem wywieźli mnie do Wronek.

Jak przyjechaliśmy do Wronek, to kazali mi się tam rozebrać do naga, ubranie i worek z rzeczami złożyć na kupce i kazali nam w kółko biegać po placu. Kławisze i służba więzienna stała i przyglądała się nam. Jak przebiegaliśmy koło któregoś, to

⁵⁴ Stanisław Pióro zginął na terenie Czechosłowacji 14 VIII 1949 r. IPN Kr 074/75, Charakterystyka Nr 76, organizacja „Polska Podziemna Armia Niepodległościowców” i jej bojówka zbrojna „Żandarmeria PPAN” - znana jako „Żandarmeria”, 13 XI 1987, s. 3.

⁵⁵ Wyrok na ks. Gurgaczu, Balickim i Szajnie wykonano 14 IX 1949 r.

⁵⁶ Według protokołu „dowódcą plutonu egzekucyjnego” był Władysław Szymanik, a przy egzekucji byli obecni: prokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Krakowie Zenon Grela, naczelnik więzienia Władysław Pestka oraz lekarz więzienny Eryk Dormicki, który stwierdził zgon. Strzał został oddany w tył głowy, analogicznie jak wobec polskich oficerów w Katyniu. Cała trójka została pochowana na cmentarzu Rakowickim, ale miejsce ich pochówku miało pozostać nieznanne.

każdy, co tam miał, ten kluczem, ten paskiem, uderzali więźniów. Każdy starał się przynajmniej raz jednego więźnia uderzyć. Było ich tam sporo, tak że wielu więźniów było pokrwawionych, jak ich tam kluczami pozadrapywali. Takie było powitanie. Dopiero po zakończeniu tej „imprezy” były przemówienia. „Żebyście wiedzieli, co to są Wronki!”.

Potem kazali się ubrać i rozłożono nas po celach. Początkowo księża byli rozrzucony. Dopiero po śmierci Stalina była pewna ulga i księży zgrupowano w jednym skrzydle, w osobnych celach.

W zimie siedziało się po siedmiu, ośmiu, a w lecie, gdy było gorąco, to nawet po 14 (żeby im cieplej jeszcze było). Spało się na betonie. Dopiero po 1956 r. zaczęli wprowadzać łóżka. A tak, to była garść słomy, którą na dzień trzeba było układać na pryczy, tak żeby była kostka. Na noc tę słomę układało się wzdłuż ściany. Każdy miał jeden koc. Jak którzy byli mądrzy, to dwoma lub trzema kocami przykrywało się dwóch lub trzech.

Kary we Wronkach były następujące: pojedyńka, karcer i wstrzymanie wypiski. Często te kary powodowali klawisze, którzy podsłuchiwali pod celami. Gdy nieraz się komuś wypsnęło jakieś nieprzychylnie słówko, to zarządzali spacer. W tym czasie oddziałowi zarządzali przegląd celi i jeżeli tylko coś było nie w porządku (okruchy chleba albo kurz), to wtedy albo starszy celi, albo cała cela – „Wstrzymanie wypisek!”. Jak oddziałowy chciał jakąś celę zgnieść, to wtedy sam otwierał celę i kruszył. Potem ją zamykał. Jak więźniowie wracali ze spaceru, to wchodził do celi, a oddziałowy krzychał: „Kto tu jest starszym celi?”. Starszy celi musiał wystąpić i zameldować się: „Więzień taki a taki melduje, że jest starszym celnym!”. „Chodźcie tutaj! Popatrzcie, jak wygląda wasza szafeczka!”. Ten patrzył i rzeczywiście pełno było okruchów. „To taki porządek się trzyma w celi? Cała cela wstrzymanie wypiski na trzy miesiące!”. Najbardziej odczuwali to ci, którzy palili. Mnie, jako niepalącemu, to się mniej dawało we znaki.

Jednak początkowo nie było wypisek, tylko można było dwa razy w miesiącu dostawać paczki. Można było posłać pół kilo tłuszczu, kilogram chleba, pół kilo jakiejś wędliny. Potem dopiero nastąpiły wypiski – zamiast paczek można było w więziennym sklepiku dwa razy w miesiącu zrobić zakupy. Paczek już wtedy nie było, tylko należało przysyłać pieniądze, za które można było kupić określone ilości chleba, cukru, tłuszczu, wędliny. Wynika z tego, że wstrzymanie wypiski na trzy miesiące dawało się porządnie we znaki.

Normalnie to jadło się zupę, chleb i kawę, która miała być słodzona, ale która cukru nie widziała. Nie wiadomo, kto zjadał ten cukier. Niektórzy, jak mieli wypiskę, to nie jedli normalnego, więziennego jedzenia, tylko wyrzucali je do kibla. Chleb i kawa były czarne, zupa nie omaszczona – przeważnie była to po prostu kasza, surowa, z ościami, nieprzebrana, nieomaszczona. Naprawdę trzeba było być głodnym, żeby to zjeść. Ta kasza tak mi obmierzała, że zdawało się, że już nigdy jej do ust nie wezmę. Starałem się nie zjeść całej wypiski od razu, tylko to więzienne jadło maściłem, kawę słodziłem. Żadnych jarzyn i owoców nie było, natomiast mięso można było w kantynie kupić. Dopiero za Gomułki wprowadzono drugie danie, a wcześniej, to była tylko zupa. Po 1956 r. to już nawet gulasz się pojawił w niedzielę. Gulasz, kartofle – to była rewelacja!

Widzenia we Wronkach były dwa razy w miesiącu. A może raz w miesiącu? Dokładnie nie pamiętam. Do mnie ktoś przyjeżdżał od czasu do czasu. Ale nie każdego puszczali na widzenie. Jak ktoś odbywał karę, to nie puszczali. Pewnego razu siedziałem z Fabianem – artystą malarzem. On był żonaty człowiek. Odbywał karę pojedyńki – jak później mi opowiadał – a tu żona przyszła na widzenie. Powiedzieli mu wtedy: „Żona

przyszła do was na widzenie, ale wy karę odbywacie, więc nie będziecie dopuszczeni”. Miał jakąś buteleczkę z lekarstwami, rozbił ją i podciął sobie żyły – ledwo go odratowali.

We Wronkach siedzieli przeważnie więźniowie polityczni i oddziałowy traktowali ich źle. Mścili się. Był taki jeden oddziałowy, który nazywał się Grunwald. Pochodził chyba spod Poznania, bo mówił charakterystycznie słowo „rozumiecie”. Szczególnie odgrywał się na starszych księżach (był na oddziale, gdzie trzymano księży). Ponieważ nie mógł się nad nimi znęcać, gdy przebywali w celi, to mścił się na nich podczas spacerów. Spacerowały codziennie, parę minut. Mówił wtedy tak: „Spacer, wystąp!”. Wtedy wszyscy mieli wyskoczyć na korytarz i ustawić się pod ścianą, twarzą do ściany. Jak mu się nie spodobało albo chciał ich zmęczyć, to mówił: „Pod celę, rozejść się!” i wtedy trzeba było błyskawicznie biec do celi. A on znowu: „Spacer, wystąp!”, a potem: „Pod celę, rozejść się!”. I tak kilka razy. Śmiałem się z tego i nie przejmowałem tym, ale poważniejszych ludzi to bardzo denerwowało.

Na spacerze można było uzyskać rozgrzeszenie. Wcześniej się już umawiali (przez dentystę, albo poprzez cele – rurami). Księża rozdawali też komunię świętą.

Ja byłem w więzieniu „winiarzem”. Wino było potrzebne do mszy. Przed apelem (apel był o godzinie 6:00) jeden z księży odprawiał mszę świętą (tekst znał na pamięć). Tylko trzeba było uważać na klawicha, który robił obchód i patrzył przez judasza do środka. Wino robiło się z rodzynek. Jak ktoś dostał rodzynki w paczce, to przynosił do mnie. Miałem też flaszeczkę po lekarstwach, na której było napisane „krople walerianowe”. Te krople się „ulotniło”, a zamiast nich dawałem do niej rodzynki i wodę i to wszystko kładłem za piec. Tam było bardzo ciepło, tak że w ciągu trzech dni to fermentowało. Z tej flaszeczki parę kropel używaliśmy do mszy, a opłatek służył za komunię. Mszę świętą odprawialiśmy w ukryciu, bowiem za praktyki religijne były w więzieniu prześladowania. Organizowaliśmy to w ten sposób, że jeden stał zawsze przy drzwiach i uważał, czy klawisz nie idzie, a ksiądz odprawiający mszę stał zawsze najbardziej przy oknie. Tak to wyglądało w tej celi, w której ja byłem.

Na celi siedziałem m.in. z ks. Uchmanem⁵⁷, Markiem Walerianem, z ks. Kubalusem ze Śląska, z ks. Gadomskim⁵⁸, z ks. Rostworowskim (jezuity), z ks. Nawro-

⁵⁷ Ksiądz Henryk Uchman (1882-1966) – proboszcz w Sieniawie (55 km na wschód od Rzeszowa), od 1942 r. w ZWZ-AK (pseudonim „As”), współpracował z Narodową Organizacją Wojskową. Po wojnie utrzymywał kontakt z oddziałem partyzanckim Jana Totha „Mewy”, którego oddział został rozbity w 1947 r., a sam Toth skazany na karę śmierci i stracony w Rzeszowie w 24 VI 1949 r. (zob. Z. Wójcik, *Udział księży diecezji przemyskiej obrządku łacińskiego w działalności podziemia antykomunistycznego w latach 1944-1956. Przyczyny – fakty – represje*, „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” 2003, t. 36, z. 1, s. 217-234). 25 V 1949 r. za współpracę z oddziałem Totha aresztowano sześć osób, w tym czterech księży, m.in. ks. Uchmana. Zostali oni potem osądzeni w dwóch pokazowych procesach, zorganizowanych na przełomie lat 1949 i 1950 w Rzeszowie i w Przemyślu. Zob. R. Szczech, *Skompromitować Kościół, otumanic społeczeństwo*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 10, s. 38-44.

⁵⁸ Ksiądz Zbigniew Gadomski (1921-1993) – wikariusz w Wolbromiu (miasto 40 km na północ od Krakowa), aresztowany 19 IV 1950 r. pod zarzutem współpracy z Armią Podziemną, zbrojną organizacją założoną przez młodzież licealną w tym mieście. Na polecenie AP zastrzelony został 16-letni uczeń, który odgrażał się, że doniesie na UB o działalności organizacji. 22 I 1951 r. ks. Gadomski (oraz proboszcz parafii w Wolbromiu ks. dr Piotr Oborski) zostali skazani w pokazowym procesie w Krakowie na kary dożywotniego więzienia. W latach 1951-1956 ks. Gadomski odbywał karę w Rawiczu. Z początkiem marca 1956 r. trafił do Wronek, a jesienią tego roku został przewieziony do Strzelec Opolskich. Wyszedł na wolność dopiero w listopadzie 1960 r. i był najdłużej więzionym

ckim⁵⁹ (późniejszym prowincjałem). Ksiądz Nawrocki siedział za to, że demoralizował młodzież, a ta demoralizacja wyrażała się w tym, że był sekretarzem naczelnym Sodalicyjy Mariańskiej. Dostał za to 12 lat. Ksiądz jezuita Rostworowski⁶⁰ dostał też 12 lat, bo udowodniono mu, że posiadał broń. A było tak, że UB chciało go wsadzić do więzienia i znaleziono sfabrykowane dowody. Pewien świadek (pewnie ubek) zeznał, że widział, jak on miał broń. Broni później nie znaleźli, ale te zeznania wystarczyły. Ksiądz Robak z kolei dostał pięć lat za to, że prowadził misje (demoralizacja). Siedemdziesięcioletni starsuszek, ks. Marek, był proboszczem gdzieś na wschodzie. Jak po dojściu do władzy Gomułki chodziła po celach komisja, która badała, czy ktoś nie siedzi niesprawiedliwie, to spytali się ks. Marka: „Za co wy siedzicie?”. Każdego o to pytali. „Licho wie za co”. „Jak to licho ich wie? Sąd was nie skazał?”. „Sąd nie, tylko NKWD⁶¹”. „Jak to, NKWD was skazało?”. „Nie. Komuś się nie spodobałem, ten doniósł na NKWD i oni kazali mnie zamknąć. Potem mnie przewieźli do Wronek i tu siedzę”. Komisja to zapisała, ale czy go zwolnili, tego nie wiem, bo nas potem rozdzielili.

Pewnego razu wszedł do celi oddziałowy i powiedział, żebym podpisał jakieś pokwitowanie za list czy jakąś prośbę do naczelnika – dziś już nie pamiętam. Powiedziałem, że nie podpiszę, jak mi nie przeczyta, co podpisuję. „To nie podpiszecie?”. „Nie”. Potem przyszła jakaś komisja (klawichy i ten oddziałowy) i pytali się: „Który to jest Żak?”. Na co ja powiedziałem: „Więzień karny Żak Michał zgłasza swoją obecność!”. „Dlaczegoście nie podpisali swojemu oddziałowemu? Co, nie macie zaufania?”. Powiedziałem wtedy, że jak miałem sprawę, to podpisałem coś bez czytania i były z tego niedobre skutki. I sędzia na rozprawie powiedział mi: „Zapamiętajcie sobie Żak, że po to Polska wydaje ogromne sumy, aby obywatele nie tylko umieli się podpisać, ale żeby przed podpisaniem przeczytali to, co podpisują!”. I powiedziałem, że tego się trzymam. W rzeczywistości, żadne takie zdarzenie z sędzią nie miało miejsca, ale dzięki temu wyjaśnieniu nie zostałem w ogóle ukarany. Zabrali się i poszli. Ksiądz Rostworowski, który był świadkiem, jak ja odmówiłem podpisu, ale nie wiedział jak się tłumaczyłem, bo w międzyczasie była przerzutka i przenieśli go do innej celi, otóż on też odmówił

księdzem w PRL – spędził w więzieniu 10 lat i 7 miesięcy. Zob. ks. D. Wojciechowski, *Więzień i duszpasterz więźniów PRL, ksiądz Zbigniew Gadomski (1921-1993)*, „Nasz Dziennik” 2007, nr z 20-21 X.

⁵⁹ Ksiądz Stanisław Nawrocki (1915-1986) – jezuita, aresztowany w 1950 r. za działalność sodalicyjną i skazany na 12 lat więzienia, zwolniono go w 1955 r. (uzyskał roczną przerwę w odbywaniu kary). W latach 1967-1973 był prowincjałem Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego. Zob. L. Grzebień, *Śp. o. Stanisław Nawrocki SJ (1915-1986)*, Kraków 1986. Z archiwów IPN wynika, że ks. Nawrocki w 1953 r. podpisał we Wronkach zobowiązanie do współpracy z UB. Przez pierwsze lata po zwolnieniu z więzienia unikał kontaktów, ale od roku 1960 miał spotykać się regularnie z SB jako TW „Jackowski”. Współpraca miała trwać do 1982 r. Zob. ks. T. Isakowicz-Zaleski, *Księża wobec bezpieki*, Kraków 2007, s. 340-343.

⁶⁰ Ksiądz Tomasz Rostworowski (1904-1974) – jezuita, kapelan AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Został aresztowany w 1950 r. i był sądzony z ks. Nawrockim w tym samym procesie (skazany na 12 lat). Zwolniono go w 1956 r. W latach 1967-1973 był kierownikiem polskiej sekcji Radia Watykańskiego.

⁶¹ NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) – ministerstwo utworzone po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. W 1934 r. podporządkowano mu policję polityczną, służby specjalne (wywiad oraz kontrwywiad, z wyjątkiem wywiadu wojskowego), służby porządkowe (milicję, straż pożarną itp.) oraz Główny Zarząd Obozów – GUŁag. Ta reorganizacja była elementem przygotowań Stalina do Wielkiej Czystki w latach 1936-1937. W latach 1938-1953 na czele NKWD stał Ławrientij Beria, będący symbolem stalinowskich zbrodni w czasie i po II wojnie światowej.

podpisania, ale jak przyszli do niego i pytali go, czemu nie podpisał, to powiedział, że taka jest zasada, że nie podpisuje się tego, czego się nie przeczytało. Za to dali go do pojedynki na trzy miesiące.

Pewnego razu wstajemy rano (było to wiosną), a tu za oknem słychać tylko krakanie i krakanie gawronów. Przez malutkie okno widać było na tle błękitnego nieba stada tych ptaków, które latały i latały. Więźniowie mówili, że ktoś ważny musiał wykitować, bo kruki robią wesele. A potem okazało się z kawałków gazety, które dawali do kibla, że to Stalin wykitował!⁶²

Po Październiku można już było korzystać z biblioteki. Można też było odebrać książki, które się miało w depozycie. Miałem w depozycie Pismo Święte. Napisałem więc do naczelnika więzienia prośbę o wypożyczenie z depozytu książki Pismo Święte oraz o wypożyczenie z biblioteki *Krótkiej historii WKP(b)*⁶³. Po jakimś czasie przyszedł oddziałowy i powiedział: „Wiezień Żak. Chodźcie podpisać. Dostaliście pozytywną odpowiedź od naczelnika. Macie rację Żak, żeście pożyczyli Pismo Święte razem z *Historią WKP(b)*, bo tak, jak dla was jest Pismo Święte, tak dla nas jest ta książka”. Już po moim wyjściu z więzienia jechałem tramwajem i zobaczyłem zbieracza makulatury, który oprócz gazet miał także książki. Te książki wydały mi się nowe. Podeszedłem i zobaczyłem stos *Historii WKP(b)*! Powiedziałem: „Panie, sprzedaj mi pan jedną!”, a on odpowiedział: „Nie wolno!”. I nie sprzedał mi. Szkoda, tak by mi się przydała jedna taka książka jako przykład obroniony przed makulaturą! A kto tak zarządził, że się z tym bolszewickim pismem świętym tak stało, to nie wiem. Miała taki ładny papier i była oprawiona w płótno.

Mnie nie objęła amnestia w 1956 r.⁶⁴ Domagałem się rewizji procesu, udowadniając, że moje czyny nie zasługiwały na karę śmierci, a udziału w napadzie nie brałem. Pisałem „lewymi” kanałami listy do Zawieyskiego⁶⁵, do posła Kisielewskiego⁶⁶, do księdza prymasa Wyszyńskiego. I pewnego razu przyszło pismo, że obniżyli mi karę z dożywocia na 12 lat. Ale ja dalej domagałem się rewizji procesu. Dostałem wtedy pismo od Zawieyskiego, który mi cytował prokuratora generalnego (był nim chyba w tym czasie Burda⁶⁷), że mnie objęła pomyłkowo amnestia i obniżyli mi wyrok do 12 lat, ale nie ma podstaw do przeprowadzenia rewizji. Przyznał, że wyrok był niewspółmierny, ale uznał, że obecna kara 12 lat jest wystarczająca. Ja jednak broniłem się w ten sposób, że skoro przyznał, że wyrok był niesprawiedliwy, to dlaczego nie chce przeprowadzić rewizji procesu, tylko mam otrzymać zmniejszenie kary w drodze amnestii, łaski... i to

⁶² Józef Stalin, właśc. Wissarionowicz Dżugaszwili, zmarł 5 III 1953 r.

⁶³ *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)*. *Krótki kurs* wydana została po raz pierwszy w 1938 r. Za jej głównego autora uchodził Stalin, choć formalnie dzieło było sygnowane przez Komitet Centralny WKP(b). W ciągu pierwszych 15 lat od pierwszej publikacji dzieło doczekało się ponad 300 wydań w 67 językach, o łącznym nakładzie ponad 42 mln egzemplarzy. Zob. A.F. Grabski, *Święta księga stalinizmu. Historia partii na zamówienie*, „Polityka” 1995, nr z VII.

⁶⁴ Mowa o amnestii z 14 IV 1956 r. (Dz. U. z 1956, Nr 11 poz. 57).

⁶⁵ Jerzy Zawieyski (1902-1969) – pisarz, redaktor „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, katolicki działacz polityczny, od 1957 r. poseł na Sejm PRL z ramienia „Znaku”. Przyjaciół prymasa Stefana Wyszyńskiego.

⁶⁶ Stefan Kisielewski (1911-1991) – pisarz, kompozytor, publicysta „Tygodnika Powszechnego”, od 1957 r. poseł na Sejm PRL z ramienia „Znaku”.

⁶⁷ Andrzej Burda (1913-1987) – prawnik, profesor i rektor UMCS w Lublinie, członek PZPR, w latach 1957-1961 prokurator generalny.

jeszcze pomyłkowo. A łaska to się należy względem czynu zawinionego, a nie tak, jak tutaj. Dopiero minister Marian Rybicki⁶⁸ złożył wniosek do Sądu Najwyższego i sąd przeprowadził rehabilitację. Ale stwierdzili, że tyle, ile dostałem w wyniku amnestii, to wystarczająca kara.

W międzyczasie zostałem przeniesiony do Strzelców Opolskich. Po śmierci Stalina wokół więźniów politycznych we Wronkach zrobiła się wrzawa. Studenci Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu publicznie zbierali składki na więźniów politycznych. Każda studentka miała „swojego” więźnia i pisała do niego, i przysyłała mu paczki. Ja miałem studentkę Danusię Śliwińską. Władza chciała to przerwać i dlatego przeniesiono mnie do Strzelców Opolskich.

Tam pozwolono mi pracować w produkcji. Ja i inni więźniowie sprzeciwiliśmy się temu. Uważaliśmy, że najpierw powinni nas wyleczyć z tych chorób, które nabyliśmy w czasie odbywania kary więzienia, a dopiero potem możemy pójść do pracy. Wtedy wywieźli mnie na dwa czy trzy miesiące do wojskowego szpitala we Wrocławiu. Tam faktycznie mnie podleczyli. Przekazali mnie z powrotem do Strzelców Opolskich i znowu zażądali, żebym się wziął do pracy. Ja uważałem, że mało jestem podleczony, ale ks. Gadowski powiedział tak: „Słuchaj, Michał! Idź do pracy! Jesteś aptekarzem, więc idź do więziennej apteki. Tam pracują więźniowie, którzy się na tym nie znają i wypijają spirytus. Po co my mamy pić wodę? Idź, bo ty się na tym znasz!”. Na to się zgodziłem i powiedziałem, że mogę popracować, ale tylko w aptece.

Wreszcie przyjechał sąd do Opola, który chciał się dowiedzieć, czy ja dokonałem reedukacji, czy nie. A ja wypowiedziałem się na temat tego, kto siedzi dzisiaj w więzieniu (trwało to około półtorej godziny).

„Ci, którzy mieli ręce zakrwawione, czy to w obronie własnej, czy w inny sposób, to już dawno zostali zlikwidowani. Obecnie w więzieniach, to siedzą ci, co mieli sprawy sfabrykowane lub niepoważne”. Powiedziałem też, jak Armia Czerwona postępowała z akowcami – szeregowców do kościuszkowców, a jak nie chciał, to do więzienia, a oficerów „pod słupek”. „Kiedy chciano zaprowadzić komunizm, a społeczeństwo było przeciwko, to się biło pałą na prawo i na lewo, winien czy nie winien – tyle ofiar było z tego powodu. Ale dzisiaj, za czasów Gomułkowszczyzny, kiedy przynajmniej można coś powiedzieć i nie robi się tak, jak wtedy, gdy UB mówiło: «My znajdziemy na was paragraf!», to ja uważam, że dzisiaj nie będę zmuszony do takiego czynu, którym zrobił. Ale jeżeli będą takie warunki jak poprzednio, to będę musiał, niestety. Sumienie mam i cierpiącym katolikom i Polakom pomogę, ile będę mógł”.

Po moim wystąpieniu sędzia powiedział: „Dosyć, Żak! Wy nie potrzebujecie nas uświadamiać!”. Pytał się potem o mój stosunek do więźniów i funkcjonariuszy więziennych. Naczelnik więzienia powiedział, że jest bez zarzutu. „Żak, możecie odejść!”.

Byłem przekonany, że nic z tego nie wyszło. Ksiądz Gadowski powiedział mi jeszcze przed rozprawą, żebym udawał skrucę, to mnie wypuszczą, ale ja im nie wierzyłem. Powiedziałem im prawdę i przynajmniej taką satysfakcję miałem!

⁶⁸ Marian Rybicki (1915-1987) – prawnik, działacz PPS, potem PZPR (w latach 1948-1968 członek KC), w latach 1950-1952 szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP (Bieruta), w latach 1952-1956 sekretarz Rady Państwa, w latach 1957-1965 minister sprawiedliwości.

Tymczasem po dwóch czy trzech dniach przyszedł do celi klawich i wywołał mnie. „Więzień Żak! Spakować swoje rzeczy! Idziecie na wolność!”. Zabrałem więc łyżkę, menażkę, ale nie wierzyłem im za grosz. Myślałem, że bierze mnie do apteki. Ale klawisz przyszedł jeszcze raz i powiedział, że ja sobie z nich żarty robię i jeszcze raz kazał mi się spakować. Tym razem stał nade mną i nie dałem rady wziąć z siennika karteczek, jakie miałem od innych osób, które liczyły na moje zwolnienie i chciały zawiadomić przeze mnie rodzinę.

W sumie odsiedziałem więc dziewięć lat⁶⁹.

Po wyjściu z więzienia nie pracowałem, tylko przez dwa lub trzy lata leczyłem się. Do seminarium już nie chcieli mnie przyjąć, bo się mnie bali. Zgłaszałem się do różnych. Na przykład zgłosiłem się do Cystersów, koło Limanowej⁷⁰. Ksiądz opat wziął mnie pod rękę i powiedział tak: „Mam szacunek dla pana, że pan po tym wszystkim, co pan przeszedł, kontynuuje swoje plany. Ale kto pana przyjmie? Po takiej głośniejszej rozprawie wszyscy się boją, bo co by władze powiedziały?”

Pisałem jeszcze tu i ówdzie, ale bez rezultatu. Chciałem też studia skończyć, chociaż skryptów już wtedy nie miałem, bo im UB spaliło. Zgłosiłem się do arcybiskupa Baziaka⁷¹, który był ordynariuszem krakowskim. A Baziak to mnie jeszcze znał z czasów przedwojennych, gdy był biskupem lwowskim. Tak się złożyło, że znalazłem kiedyś na dworcu w Tarnowie złoty krzyżyk. Był to krzyżyk biskupi. Przez rok chodziłem z tym krzyżykiem i pytałem różnych biskupów i prosiłem innych, aby też zapytali, czy nie zgubili krzyżyka. I jak kiedyś, jako student, miałem sprawę do Baziaka, toteż przy okazji zapytałem go, czy nie zgubił krzyżyka. I rzeczywiście zgubił na dworcu w Tarnowie. Wtedy mu ten krzyżyk oddałem. Prosiłem więc Baziaka, aby pozwolił mi studiować. Baziak kazał mi się zgłosić za jakiś tydzień, bo chciał porozmawiać z profesorami. A po tygodniu mi powiedział, że – niestety – nie może mnie przyjąć, ponieważ profesorowie się nie zgadzają, bo statut na to nie pozwala. Potem jeszcze, gdy ja się już uspokoilem i pracowałem „w cywilu”, to mówiono mi, żebym się zgłosił do kardynała Wojtyły⁷², że kardynał Wojtyła to załatwi, ale ja już wtedy nie chciałem.

Podjąłem pracę. Najpierw na AWF jako laborant prosektoryjny, a potem przeniósłem się do anatomii, do pani profesor Sokołowskiej⁷³ i tu jestem do tej pory. Obec-

⁶⁹ Michał Żak został warunkowo zwolniony z więzienia 17 IV 1958 r. na mocy postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Opolu. Trzy miesiące później 17 VII 1958 r. Sąd Najwyższy w Warszawie zmienił wyrok WSR w Krakowie z 13 VIII 1949 r. i po zastosowaniu amnestii z 1952 i 1956 r. wymierzył mu nową karę łączną - 9 lat więzienia i utratę praw publicznych na okres 3 lat. IPN Kr 074/75, Charakterystyka Nr 76..., s. 24.

⁷⁰ Mowa zapewne o klasztor cystersów w Szczyrzycu, 25 km na północny-zachód od Limanowej.

⁷¹ Arcybiskup Eugeniusz Baziak (1890-1962) – w latach 1933-1944 biskup pomocniczy Lwowa, w latach 1944-1962 arcybiskup lwowski. W 1946 r. został zmuszony przez władze sowieckie do opuszczenia Lwowa. W 1951 r. w związku z poważną chorobą biskupa krakowskiego Adama Stefana Sapięhy (zm. w 1951 r.) został administratorem apostolskim archidiecezji krakowskiej. W grudniu 1952 r. został internowany, a potem aresztowany w Krakowie przez władze komunistyczne, w 1953 r. wydalony z archidiecezji krakowskiej. Wrócił do Krakowa w 1956 r.

⁷² W 1964 r., półtora roku po śmierci arcybiskupa Baziaka, jego miejsce w Krakowie zajął Karol Wojtyła (ur. w 1920 r.), który w 1967 r. został mianowany kardynałem.

⁷³ Profesor Janina Sokołowska-Pituchowa (1915-2011) – repatriantka ze Lwowa, od 1945 r. pracowała naukowo w Katedrze Anatomii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1961 r.

nie⁷⁴ mam 73 lata i pracuję jako technik rentgenowski. Za rok będę już mógł pójść na emeryturę. A swego czasu pracowałem jeszcze dodatkowo, w godzinach nadliczbowych, jako laborant prosektoryjny⁷⁵.

Postać Michała Żaka pojawia się także we wspomnieniach krakowskich działaczy NZS i KPN.

Sławomir Onyszko:

W 1983 r. w mieszkaniu Michała Żaka przy ul. Wrzesińskiej ukrywał się „Łysy”, czyli Darek Warpas. Zapisałem go do KPN dość późno, pod koniec lat 80. W tym czasie on był członkiem NZS. Zrobiliśmy w ramach NZS totalne malowanie miasteczka studenckiego. Akademiki były tak pomalowane, że musieli odnawiać większość budynków. W trakcie tego malowania usiłowali zatrzymać Darka, ale on uciekł i dlatego musiał się ukrywać. Nie pamiętam dokładnie, jak długo się ukrywał u Michała, ale myślę, że z tydzień albo dwa. To musiało być dłużej niż kilka dni, bo on już nie mógł jeść. Michał przynosił obiady ze stołówki Akademii Medycznej. Zasada była taka, że obiad dziś przyniesiony je się jutro, a dzisiaj je się obiad wczorajszy. Nie wiadomo dlaczego te obiady zawsze stały jeden dzień. No i nikt nie mógł wytrzymać tego jedzenia. Tolek Piekalkiewicz, który wcześniej ukrywał się u Michała, nie mógł wytrzymać i „Łysy” też nie mógł. A Michał mu mówił – „Jedz, jedz. Najwyżej cię przeczyścisz”. Więc jeżeli Łysy już nie mógł jeść, to musiał się tam ukrywać około dwóch tygodni. Normalny człowiek tracił chęć do życia po tygodniu ukrywania się u Michała ze względu na odżywianie, ale „Łysy” był twardy, więc podejrzewam, że po dwóch tygodniach mu odeszło.

On się nudził i coś chciał uszyć. Michał Żak miał maszynę do szycia, ale ona ciężko chodziła. Szukałem u Michała w mieszkaniu czegoś, żeby ją naoliwić. Znalazłem w buteleczce coś, co mi się wydawało, że to jest olej. Ale potem okazało się, że to nie był olej, tylko formalina z czymś tam, która miała taką oleistą konsystencję. Nie wiem po co Michał to przyniósł do domu. Nasmarowałem maszynę tym „olejem”. Póki rozpuszczalnik w tej formalinie był, to to działało i ta maszyna szyla. Ale potem, jak odparował spirytus z tej formaliny, to zalepiło tę maszynę. Ale jej nie zepsułem w sensie, że wzięłem młotka i ją rozbiłem, tylko ją chciałem uzdatnić bardziej, niż była zdatna. Potem Michał ją mył spirytusem i chyba ją domył. Tylko chodziło o ten spirytus, który został wylany na maszynę i stąd ta rozpacz wszystkich. Ja chciałem wyczyścić tę maszynę, ale już mnie nikt nie chciał do niej dopuścić. Schowali ją przede mną.

Mirosław Lewandowski:

Ostatecznie żołądek „Łysego” uratowała bezpieka, bo 15 czerwca 1983 r. weszła do mieszkania Michała, szukając materiałów na Ryszarda Bociana, który w tym czasie już siedział. Oprócz „Łysego” w mieszkaniu Michała Żaka SB zastała Sławka Onyszkę i mnie (byliśmy umówieni z Bocianem, nie wiedząc, że tego dnia został on już aresztowany), no i gospodynię. Warpasa, Onyszkę i mnie SB wzięła na Mogiłską, gdzie nas przesłuchiwali, ale po 48 godzinach wypuścili. Natomiast Bociana aresztowano. Wy-

była kierownikiem Zakładu Anatomii. W 1985 r. przeszła na emeryturę. Zob. *Wspomnienie o prof. Janinie Sokołowskiej-Pituchowej* – 28.10.2011, [on-line:] http://www.cm-uj.krakow.pl/uj_2010/collegium_medicum/galeria/index63.php (24 X 2014).

⁷⁴ Rozmowę przeprowadziłem w roku 1984 – M.L.

⁷⁵ Gdy poznałem Michała Żaka w 1982 r., opowiadał mi o pracy w prosektorium – M.L.

szedł na mocy amnestii w lipcu 1983 r. Najście na mieszkanie Michała przyniosło natomiast SB sukces w postaci przejścia materiałów poligraficznych⁷⁶.

I ponownie Onyszko:

Jak Rysiek Bocian wyszedł na wolność, to kazał mi odpokutować to, że zepsułem tę maszynę, choć nie czułem się winny. Ciągłe wymyślał mi jakąś pokutę. W końcu polecił mi, abym przygotował krzyż na grób zamordowanych przez UB żołnierzy Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, do której należał także Michał Żak. Chodziło o krzyż na grobie ks. Gurgacza, Balickiego i Szajny na cmentarzu Rakowickim. Deski do wykonania krzyża znalazłem u Michała w domu. On zbierał mnóstwo rzeczy i u niego w mieszkaniu było wszystko. Z tych rzeczy, które on przechowywał w swoim mieszkaniu można byłoby czołg złożyć. Dodatkowo wziąłem kawałek blachy i na niej wykonałem napis (imiona i nazwiska zamordowanych). Tekst wykonałem za pomocą kalkotekstów, których się używało do robienia sitodruków. Potem ten tekst pociągnąłem jeszcze lakierem i to bardzo fajnie wyglądało, tak że nawet się Ryškowi podobało. Tabliczkę przykręciłem do krzyża wkrętami. Miejsce pochówku żołnierzy PPAŃ pokazał mi Rysiek. Poszedłem sam i wbiliśmy krzyż. Ten krzyż chyba dość długo tam stał. Później jezuici zaopiekowali się grobem ks. Gurgacza i postawili tam nagrobek.

O śmierci Michała Żaka tak mówił Ryszard Bocian:

Michał Żak zmarł w pożarze swojego mieszkania w 1994 r. Zdołał zresztą przytomnie ugasić ogień, ale poparzenia, szczególnie płuc były tak rozległe, że nie udało się go uratować.

Pochowany został na Wojskowym Cmentarzu Rakowickim – w grobie jednego ze swych współbojowników, na którym wykonano wyrok śmierci. Zresztą po wyjściu z więzienia właśnie on odszukał te groby kolegów, w tym ks. Gurgacza – i postawił im nagrobki.

⁷⁶ IPN Kr, 010/12356, SOR „Konspiratorzy”, t. 2, Meldunek operacyjny Naczelnika Wydziału III KWMO w Krakowie, 16 VI 1983 r., k. 92-93.



Po prelekcji Leszka Moczulskiego w salce katechetycznej na zapleczu jednego z krakowskich kościołów. Od prawej: Ryszard Bocian (w okularach, z brodą), Michał Żak, Leszek Moczulski oraz Wojciech Pęgiel – Kraków 1987